

**DOKTOR PANTEUSZ
W PRZEMIANACH.**

REKOPIS ZE SKRZYNI Ś. P
PRZYBYSŁAWA DYAMENTOWSKIEGO
STOLNIKA URZĘDOWSKIEGO,
MAJĄC SOBIE ŁASKAWIE UDZIELONY

SPISAL

JOHN OF DYCALP.

Jankowski Placyd Cmas



LIPSK

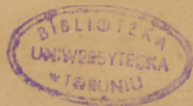
NAKŁADEM KSIĘGARNI ZAGRANICZNEJ

(Librarie étrangère)

1845.

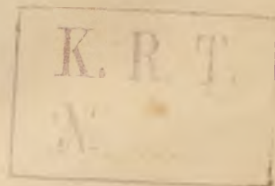
DOKTOR PANTEUSZ

W PRZEMIANACH.



475/126

K. 376/15



DOKTOR PANTEUSZ *J*
W PRZEMIANACH.

RĘKOPIS ZE SKRZYNI Ś. P.
PRZYBYSŁAWA DYAMENTOWSKIEGO
STOLNIKA URZĘDOWSKIEGO,
MAJĄC SOBIE ŁASKAWIE UDZIELONY

SPISAL

JOHN OF DYCALP.

Wydanie J. N. Bobrowicza.

*Jankowski
Glacyol*



LIPSK

NAKŁADEM KSIĘGARNI ZAGRANICZNEJ

(*Librairie étrangère*)

1845.

bezprzykładnej i wychodzącej nad możność pojęcia. Bo nie mówiąc już o nieskończonej liczbie przedmiotów, nad którymi stanęły w niepewności wasze definicje uczone, np. o morzach, piaskach, kamieniach, obłokach, gwiazdach — i o wielu nawet roślinach i tworach żyjących, któreście dla własnego złudzenia nazwali skrytopłciowemi, dwupłciowemi, dwuznacznemi i t.d. — czemże jest, pytam was, ściśle wzięta, sama starość człowieka? Chwytaście jej myśli, słuchajcie uderzeń serca, patrzcie w dogasające oczy! Nie są-ż to jakieś istoty serdecznie abstrakcyjne, doskonale nijakie? — No, wyobraźcie-ż sobie teraz, że znajdują się planety, na których ludzie rodzą się niemal takimi.

2.

Z jakiego-ż powodu — spytacie — i jakim znowu cudem raczyłem na wasz świat zawitać?

Odpowiem chętnie i najotwarciej. Ze ani przez ciekawość, ani z własnego wyboru i upodobania, to pewna. Poróżniłem się, proszę was, z jednym z moich kolegów, pedantem nad pedantami i nieukiem nad nieukami, z którym czytaliśmy na przemiany kursa filozofji w jednym z najcelniejszych uniwersytetów naszego planety. Nędzny ten, niegodny imienia filozofa pietysta, daliż-byście wiarę, oskarżył mię publicznie przed całym fakultetem, i o cóż? że moja teoria absolutu jest niezem innym, tylko

utajonym panteizmem. Uśmiechnąłem się z razu na ten zarzut: bo cała młodzież jak najlepiej była ku mnie usposobiona. Wykład mój, ukwiecony poezją, zaprawiony gorzką satyrą nad prostactwem dawnej szkoły, i co najważniejsza, osłonięty mgłą nieprzejrzaną formuł i wyrazów technicznych, ilekroć dotykałem rzeczy leżących za granicą wiedzy i nudnej rzeczywistości — co się nazywa czarował i zwracał moich kochanych słuchaczy. Jestem pewnym, że dotąd gadają oni mojami frazami, sypią je nawet do listów, i że przynajmniej na jakie lat piętnaście nabawiłem ich śmiertelnego wstrętu i pogardy ku temu wszystkiemu, co jest jasno i nie z wysoka. Ale stare i ciemne duki fakultetu ogromnie się rozkołysały na samą wzmiankę panteizmu. Mniej im szło może o tę zagrażającą młodzieży truciznę (jak się wyrażał mój oskarżyciel) gdyż szczęściem i na naszym planecie i na waszej ziemi, jak tego dostrzegam, uczone brednie jakkolwiek były by na pozór straszne, dzięki swojej głębokiej ciemności, nie wywierają bezpośrednio żadnego prawie wpływu na opinią i moralność społeczną: ale starym moim dukom szło przedewszy-

stkiem o to, że potrzeba będzie sprawdzić *corpus delicti*, przeczytać moje dzieła i poznać nowy systemat: a duki, jak wiadomo, od wynależenia pisma, zawsze i wszędzie do takich rzeczy nie skore. Okrążając więc oba te niebezpieczeństwa, prześwietny fakultet przywołał mię przed siebie i zaproponował: — «Albo odwołaj Acan swoją teorią publicznie, albo przestań czytać kurs ontologii!» — Chwila była stanowcza. Wszystkie dzienniki wrzeszczały na zabój o mojej sprawie, piorunowały na stagnacyą uniwersytetu, i w imie oświaty, w imie dobra ludzkości, błagały mię na kłęczkach o czyn poświęcenia. Pojąłem o co mię proszono, i odpowiedziałem wręcz fakultetowi: że nie podobna mi jest frymarzyć mojem przekonaniem. — «A więc Acan jesteś panteista?» — rzekł Dziekan. Uśmiechnąłem się spokojnie na to pytanie i ukłoniwszy się niziutko całej kolekcji tych uczonych petryfikacyi, wyszedłem z Auli. Młodzież po drodze rzuciła mi kwiaty, wieczorem dała mi serenadę, nazajutrz przyjęła mię pysznym obiadem i ogłosiła składkę na wystawienie mi pomnika: mojemu zaś koledze wyprawiła potężne *Charivari*,

powybijała okna, rozrzuciła nań tysiące karykatur, i przestała bywać na jego lekcjach. W ten sposób znaleźliśmy się oba z moim przeciwnikiem nieograniczonymi panami naszego czasu. Zaczęliśmy więc pisać tom po tomie kursów, wstępów, przedsióneków, krytycznych systematów filozofji, i najzdłuższych recenzyi i antirecenzyi wzajemnych. Co do mnie, utraciwszy posadę i przywiązane do niej korzyści, nie sądziłem się obowiązany do krępowania się w mych pismach. Wypowiadałem więc śmiało i swobodnie moje teorye panteizmu, starałem się mówić nadewszystko do wyobraźni młodzieży, osnuć ją i osłepić pajęczyną mistyki: wmawiałem jej najwyższą pogardę ku świadectwu zmysłów i podania, zachęcałem aby potargata pęta zadawniałych sposobów myślenia, aby się wyniosła od razu nad te sfery zakazane bo niedostępne drobnowidzym rozumom empiryków, aby mocą syntezy objęła z góry wszechistotę bóstwa, aby jego pełność czuła w sobie i widziała wszędzie, aby w każdej chwili i w każdym pyłku uniwersalnego bytu, uznawała całą wieczność ze wszystkimi jej atry-

butami, przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, aby wygluzowała nawet ze słownika imię śmierci, jako wierutną marę i bezsens: bo na tym świecie wiecznym, zjednoczonym spójnią życia, niezmiennym w swojej duszy powszechnej i mieniącym się tylko w swoich chameleonowych barwach, jakaż śmierć może zagrażać i komu? — Słowem, powiadam wam, taki *il furore* wzniciłem w króciutkiej chwileczce między młodzieżą, że gotową ona była zelżyć, a nawet osypać kamieniami każdego, kto by śmiał tylko nie nazwać mię wielkim filozofem. Nadspodziewanie, jak gdyby tego tylko brakowało do uzupełnienia mojej chwały, dwóch młodzików, którym przyszła chętka odjęcia sobie życia, pierwaj niż się postrzelali zostawili do mnie listy z wynurzeniem wdzięczności za wyczerpnięte z mych dzieł światło i za nadzieję zamienioną w doskonałą pewność, nieśmiertelnego bytu oczekującego ich w innych warunkach i formach weselszych, aniżeli te, które dobrowolnie potargali. Miałem niezręczność dołączyć oba te listy do nowego wydania mojej teorii, która właśnie drukowała się wtedy po raz dwudziesty trzeci. Mój przeci-

wnik, jak gdyby tylko czytał na coś podobnego, obrócił do mnie apostrofę pełną zimnego szyderstwa, (którą też pospieszyły powtórzyć z małpią skwapliwością wszystkie dzienniki), następną: — «Listy dwóch półgłówków, którzy w skutek dojrzałego rozwinięcia organów samobójstwa (jak świadczą najznakomitsi frenologowie tutejszego miasta), nie omieszkali by zastrzelić się o tej-że samej porze i godzinie, chociażby nasz planeta i nie posiadał teorii Pana Panteusza, chyba tylko na mocy tej powszechnej spójni, o jakiej nam prawić raczy Pan Panteusz, mogą być w związku z jego teorią. Miły Boże! czemuż Pan Panteusz nie sprawdzi nam raczej na sobie samym swojego świetnego założenia: że śmierć jest wierutną marą i bezsensem? Mielibyśmy wtedy dowód już oczywisty i mniej jednym potworem. Ale znaną jest prawdą od początku świata, że najłękliwsi i najnikczemniejsi do spotkania się ze śmiercią, byli właśnie panteiści.»

Jeden z dzienników, w którym pomieszczałem zwykle moje odpowiedzi, i którego wydawca był największym moim przyjacielem (tak

że nawet opisaliśmy się z sobą na przeżycie), nie porozumiawszy się wprzód z mną tegoż samego dnia odpowiedział na te słowa, następnie: — « W imieniu znakomitego naszego przyjaciela, spieszymy donieść Panu Sofizmowi i całej publiczności, że na niedołączny zarzut wspomnianego Sofizmu ja jeszcze w przeciągu bieżącego tygodnia da się słyszeć odpowiedź, i cały świat myślący ze łzami rozpaczy odda sprawiedliwość bezinteresowności naszego genialnego filozofa. Wielki Panteusz (zmuszeni i upoważnieni jesteśmy do udzielenia tej bolesnej dla naszego przyjacielskiego serca wieści) oddawna jest w posiadaniu ile straszliwego z jednej strony, tyle pocieszającego dla ludzkości z drugiej strony wynalazku, wynalazku mówię takiego narzędzia, tak gwałtownego, że zdolnem jest rozstrzelić życie na kilkanaście promieni. Nie wątpiliśmy nigdy, że każdy, nawet najmniejszy z promieni takiego potężnego ducha, jak duch wielkiego Panteusza, chociażby się mu dostała misya przemieszkiwania w jednym z brukowych kamieni naszego miasta, zawsze będzie tysiąckroć głębiej myślał i

«pozyteczniejszym dla ludzkości, niż wszystkie dzieła uczonych podobnych Panu Sofizmowi: ztemwszystkiem wymogliśmy na naszym genialnym przyjacielu, że dla dobra ogólnego raczył odłożyć spełnienie świetnej swej myśli, do ostatecznego wydania swojej teoryi: o nieśmiertelności zbiorowej, na nowo przezeń przejrzanego i znacznie powiększonego, które w tych dniach nieodmiennie wyjdzie z naszej drukarni. Zrobiliśmy wszystko co było można, aby druk i papier były jak najzodobniejsze a cena przystępna. Powiemy to tylko, że autor którego wielka dusza za dni kilka w innych i różnych już formach wejdzie do składu naszego planety i całości wszechhóstwa, raczył nam oświadczyć droższą nad wszystko swą wdzięczność, za staranną edycją tego wiekopomnego dzieła. »

« Nie umiem wam wyrazić mojego gniewu i osłupienia, na widok tych słów nieszczęsnych. W rzeczy samej miałem w moim gabinecie narzędzie (coś podobnego do maszyny piekielnej), i pokazywałem je nieraz temu głupcowi dzienikarzowi. Ale myśl doświadczenia na sobie tej

straszliwej strzelby ani mi się kiedykolwiek zamarzyła. Potrzebaż było, aby ten lotr gadatliwy, z namysłem czy bez namysłu, przysłużył się mi w ten sposób! Bo już-ci też — osądźcie sami — odwołać słowa dziennika, który dotąd nazywałem moim organem, nie znaczyło-ż-by co do joty przyjąć na siebie sarkazmy tego nędznego Sofizmula? Puścić rzecz na zwłokę, wtedy gdy zewsząd garnęły się do mnie deputacye winszujące, ubolewające, pożegnane, gdy i na teatrach i przed mojemi oknami, najpiękniejszym ogniem bengalskim spalono moję apoteozę — nie było żadnego podobieństwa! Uciekać! — spodziewam się że tego byście mi nie doradzili. Kiedy nawet na waszym małoduszonym świecie a są biedne stworzenia do tyła głupiuchne i śmiałe, że biegną na stós po owdowieniu, że umarzają się głodem, gdy minie pora zgonu którą sobie z horoskopów najdokładniej obliczyli, że się strzelają, wieszają, topią, skaczą w przepaści, za najlżejszem zadrażnieniem jakiegoś punktu honoru o którym żadnego nie mają wyobrażenia — cóż-by to więc była za rada wasza, pomyślcie, dla człowieka-filozofa z planety, którego mieszkań-

cy rządzą się samemi tylko prawidłami rozumu, dumy i honoru!!

Koniec końcem, zrozumiałem przeciętko, że mi nie pozostaje nic więcej, tylko rzucić potężne przekleństwo losowi, i zastrzelić się w jak najprzyzwoitszy sposób — z uśmiechem, w żółtych rękawiczkach... — Tak niegdyś wasz Cezar, padając pod sztyletami, ogarniał koło siebie starannie zwoje tuniki.

Oszczędzając więc sobie upokorzenia a Sofizmulowi pociechy, nie chciałem mieć ostatniej mowy do łaskawie zgromadzonych na ten akt gości (gdyż rzecz dziwna, najniezwyklejszy suchotnik będzie li prawil do rzeczy a nawet czule w chwilach zgonu, a najgenijalniejszy człowiek schodzący z tego świata śmiercią filozoficzną, nigdy prawie nie uniknie w swojej perorze czegoś głupiego — świadkiem kogut Sokratesa) — zamknąłem się więc w moim pokoju, wycelowałem sobie dziewięć strzelb do serca, drugie dziewięć do czaszki, trzy w *plexus choroideus* trzy w *arbor vitae* trzy w *sella turcica*, i... lecz nie będę wam opisywał straszliwego huku, z jakim rozleciała się świetna głowa Panteusza, jak raca na ty-

siączne cząsteczki. — Dostyc jest, gdy powiem, że moja żywotna istota, *vulgo dusza, duch psyche* z taką siłą i chyżością wzbila się do góry że wyleciała za orbitę systematu solarnego i znalazła się w przestrzeniach nieokreślonych *in spatiis indefinitis*.

— A więc jesteś w krainie absolutu doktorze Panteuszu! — pomyśliłem sobie, zatrzymawszy się nakoniec w tym nieścięzionym biegu, i chwając się leciutko na jednym miejscu, jak orlik przybity za skrzydło, albo jak okręt ujęty snem morza.

— Nie poprawiony szaleńcze! — rzekł mi anioł śmierci — towarzyszyłem ci aż dotąd, z litości. Kiedy jednak twoja obłąkana duma jeszcze cię nie opuszcza, zasługujesz aż nadto, abyś przeszedł przez najniższe szczeble stworzenia, nad które bez żadnych twych zasług, wyniosła cię od razu dobroć wszechmocnego. Przekonasz się biedna istoto (będzie to pełna pokory i zbawienia dla ciebie nauka), czy kropla rosy zawieszona na dźble rdestu, może śmieć mierzyć się z oceanem, czy skra załtona szkłem palnym, może powiedzieć do słońca: « otom ci równa! »

— Nie powiedziałaś mi nic nowego! Oba te porównania znajdziesz użytemi w moim traktacie o nieśmiertelności zbiorowej. Zobacz na stroniej setnej piętnastej, edycyi dwudziestej drugiej.

— Litość nie dla dumy! Zegnam cię wszakże z najszeźszym żalem mędrku zaślepiony! Wiedz przynajmniej, co mi jest wolno ci odsłonić, że twój zawód kary winienes uważać za prawdziwe szczęście, bo on ci da uczuć twą nicosć i nauczy błogiej pokory. Życ będziesz na jednym z najmniejszych planet, na tak zwanej: ziemi.

— A są-ż tam przecię uczeni, chcę mówić: filozofowie?

— Chcesz powiedzieć tacy jak ty szaleńcy, co w dobrodziejstwie swojego hytu uważają konieczność, a boski dar myśli udzielony im stopniowo i z dobrowolnej łaski, mianują w sobie częścią bóstwa, wieczną, tworzącą i doskonałą?

— Określasz mi nie dosyc technicznie, mój Aniele! Przebaczam ci to wszakże boś nie odrodzony w nauce. Lecz znajde-ż tam, choć tak przynajmniej usposobionych zwolenników mojej teoryi?

— Nazywasz ją swoją? tę nieszczęśliwą własność! Jest to przecież dawna, bardzo dawna teoria dumy i obłąkania. Uprowadziły cię w niej, niestety! duchy w otchłań stracone. Wszak i one mieniły się bogami! Lecz dowiedz się na większe upokorzenie, że nawet ludzie tej drobnej ziemi, która ma być miejscem twej kary, jakkolwiek biedne i ograniczone ich pojęcia, także oddawna już mędrkują podług twojej teorii wszechbóstwa. Bo aby wpaść na nią, dość jest utracić pokorę, oddalić od siebie łaskę Boga, pogardzić głosem serca i sumienia, i pójść samopas...

— O puszczaj-że mię, puszczaj prędzej na tę kochaną ziemię! Natychmiast zakładam katedrę i rozpoczynam kurs....

— Pokory! — odpowiedział anioł.

To mówiąc powionął na mnie swojemi skrzydłami śmierci, tak żem utracił czucie, i nie wiem już po jak długim czasie, w kształcie kropli deszczowej upadłem na ziemię.

Smutne i ciężkie wyznanie! Obraz wielki i szczytny nieszczęściem! Ten tak niedawny jeszcze przedmiot hołdów i uwielbień pięćkróć większego od ziemi planety, ten olbrzym myśli, mistrz uwieńczony, doktor filozofji i prawa *clarissimus dominus Pantheus*, zamieniony w kroplę słodkiej wody, oto upada na ziemię, wsiąka i omal nie niknie na zawsze. Tak jest, omal nie niknie na zawsze! — Bo czem-że bym się stał, proszę — nieraz sobie myślałem potem — i w cóż by się obróciła moja teoria o nieodzorności śmierci, jeźlibym w chwili tego wsiąkania do ziemi, nie osiadł przypadkiem na

Doktor Pantheusz.



kielku zaradzającej się trawki, i nie wcielil się w nią pożyczanem życiem? Uważcie sobie tylko! Doktor Panteusz staje się poziomą, prostą, zieloną trawą! A to wyobrażenie przechodzi!! Gdyby-ż dla osłodzenia tego smutnego stanu, wyrok co mię tak zniweczył, był mię przynajmniej choć porównał skromnem i zupełnem pobratymstwem myśli z trawami! Ale czuć się filozofem, a być trawą, czuć się powołanym i w siłach do radykalnej reformy systematów filozoficznych, a ulegać bezmyślnej radości, na równi z całą tą zieloną tłuszcą, na widok wschodzącego słońca lub podczas obfitego deszczu, i nie mieć innego celu w życiu, prócz wzrostu do góry na tak nazwaną chwałę bożą, i rosnać a rosnać na jednym miejscu, w zakątku, w ukryciu, szemrząc za każdym powiewem wiatru jedno a jedno dzięki Panu Bogu za to, że stworzył cię trawką, że ci dał tę ładną zieloność, że wskazał pewny zamiar, pewny pożytek na świecie, że raczy pamiętać i o tobie biednej trawce, i przyjmować od ciebie woń modlitwy i uwielbienia — ach! woła wasza, ale lepiej-by już być kamieniem! On przynajmniej nie winszuje sobie że mu dobrze,

i nie jest zapewne obowiązany do nieskończonej i nieograniczonej wdzięczności!

Wszystkie trawki, ziola i kwiaty mają tę niewiadomą wam własność: że głośno myślą. Podobalo się to wam w waszej nomenklaturze bez znaczenia, nazwać zapachem.

Otoż zaledwim dał się słyszeć z tą moją myślą, gdy wszystkie trawy i kwiaty do koła, okrzyczyły mię o bluźnierstwo.

— Cóż to znowu, młoda sąsiadko! — za-wołały z przerażeniem. — Skąd-że to ci przyszło utyskiwać na swoje losy, nie uznawać dobrodziejstwa Pana, który cię odział piękniej, niż jest odzianym jakikolwiek król ziemski w całym swoim przepychu, który cię stworzył pokorną, wonną, dobroczynną dla tylu tworów, szczęśliwą w radości i zaspokojeniu ze swego losu: nadewszystko, z kąd ci przyszło ubliżać rozum i obwiniać o niewdzięczność ku Twórcy te poczciwe kamienie, co wzięły w udziale wiekiistą niemal trwałość, na tyle pięknych rzeczy mogą się przydać, służą na świątynie Panu, tyle cennych, użytecznych, i również jak my uzdrawiających posiadają własności.

— I może nawet filozofują? — przerwałem szyderczo.

— Niewiemy co chcesz przez to powiedzieć? młodziuchna sąsiadko!

Znalazłem się w niemalym kłopotcie. Bo jak, proszę, objaśnić w kilku słowach tym ciemnym trawom, istotę filozofji, kiedy, jak wicie, ta boska nauka przy całym apparacie terminów uuczonych, określić się nie daje!

— Chcę mówić — odpowiedziałem, miarkując nieco moję ironiją — że kamienie nie trzdzą się zapewne myślami ani o swoim początku, ani o swoim przeznaczeniu.

— I owszem. Wiedzą one że je Pan stworzył, wiedzą że mają przeznaczony cel swojego bytu, gdy ich raczyła dotknąć święta ręka budowniczego świata: są więc również jak i my spokojne i szczęśliwe pewnością, że opiekuje się nimi ten, który się opiekuje wszystkim.

Zmięszałem się widocznie i zamilkłem.

Dobre trawki, dla których obcą jest przyjemność upokorzenia bliźniego, starały się podać w zapomnienie i zatrzeć jak najprędzej po-

wód, który wywołał tę nie miłą dla mnie rozmowę.

— Patrz tylko, kochana sestro! — rzekła mi najbliższa — jaki pelen radości obrzęd mamy w sąsiedztwie! Od chwili wyniknienia twojego z ziemi, jeszcześ zapewne nic podobnego nie widziała. Patrz, oto nie opodal na tym fijołku, mamy wesele!

— Jak-to wesele?

— Jest to, kochana sestro, najmilsza z uroczystości u tych małych skrzydlatych istot, które choć są innej jak widzisz, niż my natury, bo mają możność przenoszenia się z miejsca na miejsce, żyją przecież z nami w najczulszej przyjaźni, i codzień spólnie z nami zanoszą dziękczynne modły Pannu.

— Widzę je, te drobnutki muszki: ale jakaż to jest sama w sobie ta szczególna, jak mówisz, u nich uroczystość?

— Przypatrz się im, i posłuchaj z uwagą ich śpiewu!

Nie tyle mię zajął roik tych maciupkich, jaskrawych muszek, unoszących się nad fijołkiem, po większej części parami, ile ich szmer już pojedynczy już choralny, widocznie into-

nowany z pretensją do jakiegoś śpiewu: bo nawet odróżniłem w nim kilka zwrotek, które przytaczam tu z pamięci:

Zbudzić się nagle, wesoło,
I ujrzeć świat cudów w koło:
Ach! bracia! tylko dobry Bóg,
Pamiętać o nas tyle mógł.

I karm i barwy z kwiatów snuć,
W skinieniu każdym lubość czuć,
Ach! bracia! tylko dobry Bóg,
Pamiętać o nas tyle mógł.

Znaleść parę nierozjemną,
Kochać miłością wzajemną,
Ach! bracia! tylko dobry Bóg,
Pamiętać o nas tyle mógł.

— Co to jest znowu, kochać? i jeszcze miłością jakąś wzajemną? — spytałem.

— Widzisz - ho, młodzintka siostrzo! ja ci tego dobrze wytłumaczyć nie potrafię: ale rozpowiem jakem słyszała o tem od starszych. My proste trawki wszystkie jesteśmy do siebie zupełnie podobne, i żyjemy sobie w ścisłej przyjaźni, rośniemy obok siebie, nie kłócimy się nigdy o nic, nie zazdrościmy sobie w niczem, i jesteśmy z tem najszcześliwsze. Ale te lata-

jące istotki — tak to już widzieć chciał P. Bóg — różnią się od siebie oczkami czy skrzydełkami — tego już ci powiedzieć nie umiem: i tak się pomiędzy niemi dzieje, że jakoś szczególnie wyszukują się nawzajem, i lgną do siebie parami, i często nawet wojują z sobą o to kto z kim ma być w parze. Jest to zapewne nie ładnie, że nie mogą one użyć się z sobą, tak jak my możemy: ale nie każdemu dał P. Bóg urodzić się trawką i nie mamy prawa dla tego wynosić się nad nich; bo i one chwala Pana Boga że je stworzył parami: musi więc i tak być dobrze!

Było to pierwsze, jakie słyszałem określenie miłości. Naturalnie że mię nie zaspokoily wszystkie te nie mówiące omówienia i parafrazy. Uśmiechałem się więc tylko pogardliwie: co zapewne do przebaczenia w filozofie nawykłym do ścisłych terminów szkoły —

Gdy w tem straszliwie zatrzęsła się ziemia, wszystko do koła mnie struchlało, upadło bez życia — i jam uczuł że przestaję być trawką.

— Ale przynajmniej tą razą runął ze mną świat cały!

Fractus illabitur orbis.

Wiersz ten Horacyusza, naturalnie nie mógł mi wtedy przyjść na pamięć, bom jeszcze nie umiał po łacinie: lecz najszczerzej byłem przekonany o powszechnem w tej chwili zniszczeniu świata; miałem więc ostatnią pociechę, tak wysoko cenioną od prawdziwych filozofów: że wraz ze mną wszystko się skończyło.

Aż oto poczułem nagle jakiś ból ostry, szczypiący, nie nader wszakże dotkliwy, i pomyślałem sobie: że taki to jest zapewne finał procesu roślinnego życia. — Nic-że tu nie ma tak dalece tragicznego i bolesiwego! — myślałem. — A przecież elegiczni poci mojej planety, nigdy nie mogli dobrać dość łzawych słów i rymów, choćby na zgon np. róży! — Ale myśląc tak, myliłem się bardzo. To com sądził boleścią śmierci, było raczej boleścią mojego odrodzenia. Obnażony z ziemi kielek, w którym ześrodkowała się jeszcze moja żywotna siła, właśnie w tej chwili uszczkniętym został od świętojańskiego robaczka. Dzięki temu

4.

Tylko-ż dla sprawdzenia daty tej strasznej katastrofy, nie spiescie zaraz do swoich chronologicznych tablic: o trzęsieniach, wybuchach wulkanicznych i innych rewolucjach kuli ziemskiej. Rzecz z siebie nie warta takiego zachodu, choć wielu trawom i roślinom, a w tej liczbie i mnie kosztowała życia. Nic więcej, tylko ten podziemny Attila, okrutny Nabukdnezar, Gengiskan, kret jednym słowem, wyrzucił nas z kretesem: słońce przypiekło: i w oka mgnieniu poschłyśmy, zżółkły i obumarły.

— Znowu śmierć! — pomyślałem konając.

przypadkowi, po krótko trwałej boleści, przestałem nakoniec być trawką, a stałem się istotą wprawdzie czołgającą się i drobną, ale przynajmniej świecąca, jak na doktora filozofji przystało.

— « Tak nazwany świętojański świecący robaczek albo świetlik (*lampyris nocti-luca*) jest około czterech linji długo, brunatno-czarny, na dwóch ostatnich pierścieniach ma dwie białe plamki, z których wczorem mocne fosforyczne światło wychodzi. Przesiaduje w trawie pod krzakami, żywi się korzonkami i innymi częściami roślinnymi. Zdjęty z ziemi i zamknięty w jakimkolwiek naczyniu, omdlewa niebawmie, i traci blask światła — a przy śmierci zupełnie. »

Otoż i wszystko niemal co wiecie o życiu świetlików! A i z tych jeszcze szczegółów, podobno jeden tylko przyjęty zgodą wszystkich uczonych, i uważany za niedostępny najmniejszej wątpliwości: że świetliki pozbawione swobody omdlewają, a ze śmiercią tracą blask światła zupełnie.

Cóż, gdybym ośmielił się wam donieść, że te malutkie robaczki świecą wprawdzie wie-

czorami światłem zielono-dyamentowem, ale bynajmniej ani fosforycznem ani poetycznem. Tak jest, pomimo mniemanego podobieństwa (od którego poeci romantyczni nie raczą się uchylać) i przyjętego twierdzenia, że świetliki dopóty tylko ronią swoje dyamentowe światło, dopóki nie minie dla nich uroczna pora poezyi i miłości, proszę mi wszakże wierzyć, że jest to twierdzenie, co się nazywa, nieuzasadnione. Świecący robaczek, podług mnie, daleko słuszniej niż do poety, dałby się porównać do myślącego filozofa. Nie chcę tu wprawdzie przybierać tonu stanowczego, ani mię stanie na mordercze sarkazmy stronie przeciwnej, gdy śmiem odślonić to nowe zdanie: zda mi się jednak, że uczeni i bezstronni sędziowie raczą przyznać jakąkolwiek wartość obserwacyom człowieka, który lubo wyznaje w pokorze iż upadł z innego planety, ale niezawodnie, chociaż przez czas bardzo krótki, był rzeczywistym świetlikiem *in persona*.

Tak jest, świeciłem Panowie moi, blaskiem nie omoczonym dumą, zarozumieniem, upodobaniem z tego że się odemnie świeci: świeciłem nie dla tego, na honor, abym się przypo-

dobal i ściągał dla siebie malutkie względy innych świetlików sióstr czy samek, jak je nazywacie: gdyż w krótkim zawodzie mojego robaczkowego życia, ręczę was, że nie widziałem się nawet z żadną samką-świetlikiem oko w oko; świeciłem sobie prawie bez wiedzy o tem że świecę, bez uczucia żadnej ztąd zasługi, tak samorzutnie i samopoznawczo *), ciesząc się tylko z mojego bytu, i błogosławiąc Boga, że mię raczył stworzyć świecącym robaczkiem, dla objawienia swojej łaski, podobnie jak świecą w górze nie mniej mu pokorne gwiazdy, nie myśląc nawet o tem, że są one tysiąc-kroć większemi światami od waszej ziemi.

*) Umieściliśmy obok siebie dwa te nowe wyrazy, na wiarę osób, które się mieniły świadomymi ich znaczenia. Samopoznawczo ma to być wtedy, gdy sam tylko autor poznaje czyli rozumie, co chciał powiedzieć. Samorzutnie ma znaczyć przypadkiem, machinalnie.

Podług innych, Samorzutnie były to maszyny wojenne, czyli kusze do ciskania strzał i kamieni. Dawne ballisty i katarpulty.

Słowem, spokojny, beznamietny, eremitalny że tak powiem byt robaczka, uleczył-by mię może najprędzej i najskuteczniej z moich panteistycznych myśli, jeźliby zaraz drugiego wieczora, nie podjęła mię z ziemi jakaś niewidoma siła, i zaniósłszy gdzieś daleko, daleko od miejsca mojego urodzenia, nie przykryła mię szklanką na wazonie rezedy. Okrążywszy po kilka razy moje szklanne więzienie, przekonałem się rozsądnie że nie było sposobu do ucieczki: z najspokojniejszą więc rezygnacją położyłem się na listku rezedy.

W kilka minut usłyszałem nad sobą pierwszy gwar ludzki, pierwszą rozmowę w języku waszego planety. Utkwiła ona mocno w mojej pamięci, już dla tego że pierwsza, już znowu dla tego, że z swojej treści i wybitnej różnicy w głosie rozmawiających, przykuła wtedy do siebie całą moją uwagę. Pozwólcie więc, że ją tu przytoczę, z dodatkiem cudackiego komentarza jakim starałem się sobie objaśnić niektóre wyrażenia i myśli, dla was bardzo proste i jasne, ale dla mnie, w owym czasie, najeżone niedocieczonemi hieroglifami. Jeżeli spytacie, jak-że więc mogłem zrozumieć same

słowa tej pierwszej ziemskiej rozmowy, i jakim znowu cudem zdołałem spamiętać tak wierne rzeczy całę nieznane? to wam odpowiem krótko: że grammatyka powszechna, w której dotąd jeszcze oglądacie się na Harrisa, i Mnemnonika której figliki pokazuje wam w tej chwili Rabbin Dennemarek, jak są udoskonalone na naszym planecie, nie więcej temu tylko pięćdziesiąt wieków. Mówię to bez chińskiej fanfaronji.

— «Zgadnij Leonie jakiego ci mam gościa? ale jakiego rzadkiego, jakiego ślicznego go, miłutkiego!» — zadzwieczał nademną głos słodki, cieniutki, niby eichego śpiewu dzieci, niby szczebiotu ptaszego, niby harmonji sfer — chociaż tej ostatniej, wyznam wam otwarcie, nie miałem honoru słyszeć na własne uszy.

— Coby to było za stworzenie, przemawiające tak czysto i miłe głosem ludzkim? — myślałem sobie. — Jeżeli to ptak uczony, to ohy mi dały nieba jak najprędzej doczekać choć podobnej przemiany!

— «Zapoznaj-że mię, kochana Natalijo, «ezemprędzej z tym droгим gościem, abym

«mógł nie tracąc czasu podzielać twą radość. Może... ale nie śmiem mieć tak wielkiej nadziei — może wreszcie ulitowano się nad nami! — może masz list od mojego ojca?» — odpowiedział z pośpiechem głos mężki.

— Więc ta słodko mówna ptaszyna nazywa się technicznie Natalija! — pomyślałem. — I nie dość na tem że ma ona taki śliczny organ i dar powtarzania mowy ludzkiej, ale jeszcze używaną tu jest do noszenia listów! Na bardzo dobrą myśl wpadli ci ziemianie. W rzeczy samej ptaki jedyne są na poczytliwów. Przypominam nawet sobie, że w jednej z rozpraw o tutejszej ziemi czytał kiedyś, jakoby używane tu były do noszenia listów gołębie: nie czytałem przecież nigdzie, iż te kochane ptaki posiadają przytem pojętność i zdolność opowiadania. Musi to być szczególny jakiś rodzaj gołębi. Natalija! — będę sobie pamiętał to imię rodzajowe.

— «Nie Leonie! nie poddawaj się tej nadziei! Gościem naszym nie list, niestety!»

I przy wyrazie niestety, rozumna ptaszyna westchnęła tak czule, z takim jakimś

elektrycznym prądem wprost do mojego serca, zem aż zadrzał pod szklanką.

— A to podwojna osobliwość! — rzekłem do siebie — ta dziwna Natalija nie tylko słodziej niż ludzie powtarza słowa, ale i wzdycha tak uczenie, z tak wybornie naśladowaną prądą uczucia, że przysiągłbym zda się, iż słyszę głos człowieka, i nawet bardzo nieszczerliwego!

— « To nie dręcz-że mię napróżno, bo mi w tej chwili nie do żartów! » — odrzekł Leon posępnie.

— « Ja też ani myślę żartować. Wnet ujrysz swojego gościa: tylko-ż się wprzód przygotuj na jego powitanie; bo to osoba niepospolita, jaśnie oświecona! »

— « O mój Boże! był-że by to dobry wuj mój? » — zawołał Leon skwapliwie.

— « Jeszcze raz, proszę cię Leonie, porzuć swoje wysokie nadzieje. Dostojni krewni wyrzekli się ciebie. Za ojca, wuja, braci, za wszystkich a wszystkich niech ci stanie twoja wierna, biedna Natalija! »

— O dobra, poeciwa ptaszyna! — pomyśliłem. — Lecz cóż ona pomoże temu biedne-

mu, wydziedziczonemu widać młodzikowi. Jeżeli on poeta, jak coś na to zakrawa, Natalija może zapewne roznosić w dziobku jego wiersze po świecie, i kwilić i gruchać nad nim słodko i melancholijnie, wątpię jednak, aby mu zdołała zastąpić jego jaśnie oświeconych, bogatych krewnych!

— « O moja Natalijo! Jam oddawna już nawykł uważać cię za jedyną mą własność, za cały skarb, za mój rozum, za moje wszystko. Za cóż, jakby doświadczając tej wiary, tak często przeprowadzasz mi przed oczyma, jakieś błyskotne, zwodnicze i zupełnie mi niepotrzebne nadzieje? Tak, niepotrzebne! ręczę cię na wszystko święte: nawet szkodliwe. Bo mi niweczą one pokój duszy, i ranią mię, zabijają niepodobieństwem swojego spełnienia. Ach! ja bym cię chciał otoczyć wszystkimi szczęściami, jakie ma ziemia, widzieć cię radośną i szczęśliwą, ceną łez, choćby nawet i krwi mojej. A ty jak gdybyś wątpiła o mojem sercu, jak gdybyś chciała wyśmiać bezowocną mą pracę i krwawe ubóstwo, jak gdybyś już żałowała nierozmyślnego ślubu z nędzarzem — nie! to nawet nieszlachetnie Natalijo! Chociaż-

by to nawet był żart tylko, zbyt on boleśny, nieszlachetny! Nie dręczymy lubych istot, szczydzić łez tym, których kochamy....

— «A więc przestań, przestań Leonie! jeżeli to czujesz co mówisz, jeżeli masz nademną choć trochę litości!» — zawołała ptaszyna tłumionym i przerywanym głosem.

— Przez Bóg żywy! — myślałem, nie posiadając się z zadumienia. — Otoż mi jeszcze zapłaczcie! I w cóż się teraz obróci zawołane twierdzenie filozoficzne: że płacz jest wyłączną własnością ludzi, odróżniającą ich od wszystkich innych istot! Że ten biedny pociek obraca takie czułe androny do ptaka, nie dziwię się wcale: bo w niedostatku cierpliwszego powiernika, ichmość ci umieją sobie płakać do pustek, wiatrów, do księżycy, do listków nawet i kamieni — ale że ta Natalija przybiera się płakać, i tylko co nie słyhać jak mi się rozszłocha żywymi łzami, będzie to niepożyty sęk w mojej teorii.

Na szczęście, Natalija, jak gdyby przewidując com miał na sercu i chcąc mi ulżyć ciężaru, z ptaszecą łatwością pierzchnęła nagle

z tego płaczliwego usposobienia, do pustego śmiechu.

— «Zobacz - że, zobacz niesprawiedliwy człowieku, nieznośny urzędniku!» — zawołała innym już, zupełnie śmiejącym się głosem — czy miałaś przecie powód do czynienia mi jakichkolwiek zarzutów? Czyli nie najniewinniej wyszły wszystkie twe posądzenia? Ale nie gniewam się, owszem żałuję ciebie: bo to nie wina serca, ale znużonej, bezsennej głowy. Patrz, przyniosłam o wiorstę blisko, tego biednego świetlika, pierwszego jeszcze gościa w tym roku. Chciałam ci zrobić przyjemność, przypomnieć sobie te miłe czasy, kiedyś mi o miłe zbierał te ładne robaczki, a gdyś cię upominała za te dalekie wycieczki i ocierała twoje spocone czoło, powtarzałaś mi: że byłbyś gotów skoczyć do nieba i zerwać dla mnie gwiazdkę. — Ale może ci już dawne opowiadam dzieje? Daj znak, że mię słyszysz przynajmniej Leonie! — choć pocałunkiem, jeżeli ci skąpo na słowa!»

I w tej chwili posypały się, o ilem mógł miarkować, prawdziwe pocałunki: raz, dwa, i pocałuj mię raz jeszcze! i raz jeszcze! i zno-

wu jeszcze! Czyste *recitativo!* — Słowem, zapomniano zupełnie o biednym świetliku, który wywołał i tę klótnię i zgodę, i smując się na wszystkie strony po gałązce rezedy, chciał coś dojrzeć, pojąć, zrozumieć. Ale nie nie dojrzał, nie pojął: aż nadaremnie strudzony, pomyślał sobie wreszcie: — może też cała ta zagadka nie warta twojej filozoficznej ciekawości, Doktorze Panteuszu!

Zwinął się więc w kłębek, i zasnął spokojnie.

5.

Gdy o wiosnie zrywa się do lotu skowronek, zatacza półkole jak tanecznicą, i z razu z cicha z główką za siebie zwróconą, jakby odchodzący kochanek szle ostatnie pozdrowienia swej miłej, a potem wzbija się do góry i im wyżej tem śpiewa głośniejsze, tem czulej: aż oto znikł już z oczu, zaleciał za obłok, zamienił się w daleki dzwonek jutrzni niebieskiej — co to za niewysłowione musi być szczęście tej ptaszyny! — myślałem sobie nieraz, dopókim nie był jeszcze doktorem filozofji.

Któż mógł mi wtedy przewidzieć i przepowiedzieć, że miałem się spotkać z tem pod-

obłokowem szczęściem, i właśnie w postaci skowronka?

Tak przecież się stało. I co boleśniej, przemiana moja odbyła się w sposób tak prozaiczny, że nawet niewyczerpany Owidyusz nie wiem czyli-by ją zdołał upoetyzować.

Nazajutrz po opisanej przezemnie rozmowie Leona i Natalji, kiedym spał smaczno na rezedzie, zapomniawszy i o poziomej mojej kondycyi robaczka (bo sen porównywa świetliki i króle), i o tej dziwnej ptaszynie Natalji, której pojętność i wzajemna sympatya z Leonem takiej śmiertelnej nabawiły mię wczora ciekawości, gap jakiś służący zdejmując z wazonu szklankę, którą byłem przykryty, nie dostrzegł mię i nieostróżnie strącił na ziemię.

Dla biednego robaczka znaczyło to upaść z tarpejskiej wysokości. Stłukłem się okropnie i wśród niewymównych boleści miotałem się długo w ostatnich wysileniach zgonu, bez pomocy, i możności wzywania pomocy. Aż jedną razą, postrzegłem skaczącą nad sobą jakąś szarą ptaszynę, która mię oglądała z uwagą, przechylając główkę to na tę, to na drugą stronę. Jakaś niby pociecha wstąpiła do moje-

go serca. Rad byłem przynajmniej, że choć jedna żywa istota przytomną będzie mej śmierci. Bo umrzeć samotnie, nie widząc nikogo na świecie jak na stepie, co by nas pożegnał choć westchnieniem litości, och to smutno nawet dla robaczka! Mara śmierci przybiera wtedy jakąś postać widomą, rośnie ci w oczach straszliwie, a lodowata jej ręka zda się wprost pomyka się do serca, i wyziębia zeń nawet tę najzimniejszą samą przez się nadzieję nieśmiertelności zbiorowej. Kilka razy miałem podobne chwile, i mogę was uręczyć, że nie ma bardziej zagrażającego mocy duszy filozofa, jak umierać bez świadka.

Spotkawszy się wszakże oko w oko z ptaszyną, która mię tak pilnie oglądała, poczułem w sobie dreszcz przedśmiertny: bo szara ptaszyna miała niewątpliwie oczy żaby *) tej odwiecznej nieprzyjaciółki świetlików.

Jakoż ledwiem zdołał pomyśleć o zagrażającym mi niebezpieczeństwie, gdym został ży-

*) Tradycya o zamianie oczu skowronka i żaby nie ulega żadnej wątpliwości. Patrz: Szekspira Romeo i Julija akt 3ci scena 5ta.

wo polknięty, i tej samej chwili już ocierałem sobie dziobek i półwierkałem z radości.

Smutne mię wszakże, bardzo smutne czekało życie. Za całą przestrzeń, bez której nie ma życie dla ptaka, miałem niewielką framugę za piecem, trochę piasku, i kilka kamieni. Poprzednik mój obył się już z tym stanem niewoli: dzień cały przesiadywał zwykle cichutko, kąpał się w piasku, polował na zalatujące przypadkiem muchy: nad rankiem zaś tylko wydzwaniał swe ładne pieśni i dozwalał sobie wycieczek po całym pokoju. Jam wkrótce przemienił ten samotny tryb życia. Po pierwszym dniu nudnych rozmyślań, przemogłem w sobie lękliwość, wrodzoną nowej mojej naturze, i zacząłem żyć swobodnie, na wielką stopę. Pierwsze wszakże wystąpienie nie obeszło się mi naturalnie, bez wielu pomyłek, i wielu śmiesznych najchybijszych domniemań.

Trwając wciąż w przekonaniu powziętem z epoki mojego świetlikowego hytu, iż Natalija co mię tu przyniosła, była ptakiem, jeszcze z framugi upatrywałem ukradkiem po całym pokoju tej szczególnej gołąbki. Z nią mi najłatwiej — myślałem sobie — przyjdzie zawią-

zać znajomość. Ptaszyna tak dowcipna i nawet czuła. Potrzeba mi więc tylko otrząsnąć się przed nią z reputacyi małego rozumu, jakiej używał tu zapewne mój poprzednik.

I z tą myślą, po raz pierwszy wysunąłem się z za pieca. Oprowadziłem po całym pokoju badawcze spojrzenie: ale Natalji nie było. Ujrzałem tylko przy biurku siedzącego młodzieńca, tak ładnego i ujmującego, jakich nie zdarzyło się mi widzieć na naszym planecie. Pisał on coś z zamyśleniem, przesuwając lewą ręką długie i ciemne włosy, które mu po stronach spadały aż ku piersi, a w górze były zebrane w duży pęk jeden i spięte grzebieniem. To znowu składał pióro, czytał to co napisał, lub oglądał się ku drzwiom niespokojnie. Czasem też patrzył długo jakby mimowolnie w zwierciadło będące w głębi biurka, i półotwarty uśmiech stawał mu wtedy na ustach. Ładny chłopeczyna znał to widać do siebie! Lecz niepodobna mu było mieć za złe tego ulotnego roztargnienia. Czułem dobrze, że na jego miejscu poddałbym się również chęci jak najczęstszego sprawdzania: czy też poczciwe szkło odbija zawsze takie miłe rysy?

Smutno mi przecież było, że Leon tak całkowicie zajęty był pisaniem i sobą, iż nawet nie dostrzegł mojego bohaterskiego szastania się tu i ówdzie, ani ocenił śmiałości, z jaką mu niejednokrotnie zaglądałem w same oczy. Po krótkim więc namyśle, podleciałem do biurka i usiadłem sobie prosto na kałamarzu, jakby chcąc dać poznać, że i ja też znam się cokolwiek czarno na białem.

Jakoż, piszący ledwie że nie krzyknął z radości, ujrzawszy mnie obok siebie, pomknął ostróżnie rękę, wziął mię, bom nie myślał uciekać, i pocałował w sam dziobek tak, że aż mi się zrobiło gorąco.

Po czem posadził mię na swem ramieniu: mogłem więc wygodnie widzieć, jak pisał następujące słowa:

— « W tej chwili, dał-że byś wiarę, mój skowronek tak dziki aż dotąd, przyleciał prościutko do mojego biurka, dał się wzięść w ręce, i siedzi teraz sobie na mojem ramieniu. Uważam za najlepszą wróżbę, tę jego niespodzianą uprzejmość. Może też — myślę sobie — Bóg dobry tak zrządził, że w tej właśnie chwili, utaskawił się dla cie-

« bie twój wuj albo ojciec. Ach! nie uwierzysz, mój drogi, z jaką niecierpliwością wyglądam ustawicznie twójgo posłańca. Jakaś wielka nadzieja nagle wstąpiła mi do serca. Ot jakiej fraszki czasem jest dosyć, aby zapomnieć o samem nawet niepodobieństwie i zacząć mieć nadzieję! Ztem wszystkim wracaj jak najprędzej mój drogi Leonie! Jeżeli ludzie po dawnemu kamienni, przebac im, zapomnij, i nie trać czasu, nie usiłuj ich zmiękczyć: bo czas teraz całem naszym bogactwem, naszem wszystkim: wracaj więc, mój mężu, będziemy pracowali na ostatnie siły. »

— Więc to jest list do Leona! — myślałem sobie. — Oczywiście zatem, że nie pisze go sam Leon, jak rozumiałem. Ale piszący nazywa Leona: mój mężu! Coby to był za rodzaj pokrewieństwa?...

Tymczasem młodzieniec pieczętnując swe pismo, zadzwonił na służącego.

Zawołany nadszedł niebawnie. Rzuciłem nań okiem i z niemałym podziwieniem dostrzegłem, że był też całę miłej urody, szykownej postawy (niesłusznie go zatem obwinałem o ostatnią niezręczność w strąceniu mię z wazonu)

i przytem miał włosy podobnież wijące się po stronach, jak je nosił piszący.

— Na honor, ładni są ludzie na tej ziemi! — myślałem sobie — i ubierają się nader gustownie, jeżeli mam wnosić z dwóch pierwszych poznanych. Tylko że jakiejś dziwnie drobnej rasy i tak wiotkiej budowy, takiej przeświecającej się białości, jak gdyby z cukru byli ulani!

— « Moja kochana Zosiu! oddaj ten list Marcellemu: niech będzie łaskaw prećiutko odnieście na pocztę. Tylko żeby, broń Boże, nie zgubił. Albo lepiej, zawołaj go tu do mnie. Już ja go sama o to poproszę. »

Służący wyszedł, i za dobrą chwilę wrócił w towarzystwie oczekiwanego Marcellego.

Był to prawdziwy helot obok Zosi. Dryląg wielki, na wysokich nogach, w kusym spencerze najniegodziwiej odbijającym od tych nóg kulikowych, z twarzą ciemną i nieładką, chociaż nie zbyt jeszcze starą, z wąsami ryżemi i tak potężnemi że zda się trzymał on w zębach wiewiórkę, przeciwnie z głową ostrzyżoną równo i nisko, sterczącą po nad wąsami, jak wieżowa gałka nad wietrzną chorągiewką.

Słowem, chociaż miałem przed sobą człowieka bardzo i bardzo podobnego do ludzi mojego planety, wydał się on mi przecież obok tych dwóch ładnych istot tak niekorzystnie, że aż przymrużył oczy.

— « Rochany Marcelli! — rzekł mój piękny właściciel — bądź tak dobry, i jeżeli ci czas pozwala, odnieś ten list zaraz na stacyą pocztową. A jeżeli może zastaniesz list do mnie, to zmiłuj się odbierz go, i przynieś mi natychmiast. »

Prośba ta była zaniesioną takim miłutkim, obowiązującym głosem, że aż mi wszystkie piórka powstały z oburzenia, gdy drab wąsaty zaczął coś odmrukiwać i wymawiać się od jej spełnienia. Wkrótce jednak zmiękczył się jakimś pieniężnym datkiem, popartym radą: aby na cześć serca zasilił się sobie gdziekolwiek po drodze kieliszkiem wódeczki.

To ostatnie słowo, doznanego już widać na Panu Marcellim uroku (bo wnet raczył się uśmiechnąć), objaśniło mi w oka mgnieniu fizyonomiczną różnicę między tym czarnym mrukliwym wąsałem i dwoma moimi białymi. Przypomniałem sobie, że w tych-że samych eudo-

wnych anegdotach o ziemi, do których jużem się raz odwoływał, czytałem także, jakoby na ziemi miały być trzy czy cztery plemienne odmiany ludzi, że płeć biała uważa się wśród nich za najszlachetniejszą i przeznaczoną do panowania nad innymi: przeciwnie przychodzący na świat z cerą czarną, taką zapewne jak u tego Marcellego, poczytują się za przyrodzonych niewolników, i w rzeczy samej doszli oni do takiego stopnia upodlenia, iż za kilka kubków odurzającego napoju, zwanego wódką, nie tylko gotowi są oddać w niewolą swych braci, ale nawet zaprzedać się sami.

6.

Już więc, zdało mi się, wytłumaczyłem sobie plemienną różnicę mieszkańców ziemi w sposób zaspakajający. Zostawało mi teraz zapuścić się tylko w postrzeżenia, uwagi i wnioski filozoficzne nad tą nieznaczącą na pozór a przecież tak istotną zawisłością między wzrostem, głosem, wdziękiem, szlachetnością samą nawet postawą tuziemców i ich cerą. Miałem zaiste otwarte wszystkie sposoby do postrzeżeń tego rodzaju: bo oprócz malutkiej wprawy w filozofji, której sobie bynajmniej nie liczę za zasługę (człowiek im dłużej żyje, tem więcej naturalnie zbierać musi umysłowych zapasów,

tem prędszy, trafniejszy i ogólniejszy sąd ma o wszystkim) o toż prócz jakiej takiej wprawy i obeznania się z filozofją, znajdowałem się teraz w położeniu najprzyjaźniejszym badaniom psychologicznym. Nieunikany, niezważany świadek najskrytszych czynności ludzkich, miałem tylko zważać pilnie na wszystko i nie gardzić drobnostkami, a stała mi otworem tajemna księga znajomości człowieka!

Zkądinąd, gdy zakres mojej kary i samo jej stopniowanie, tak mało były mi odsłonięte, zgadzając się poniewoli z losem, wdzięczny mu byłem choć za to, że mię umieścił w dobrem towarzystwie. Bo od pierwszych chwil, wszystko mię zniewalało ku mojemu młodemu panu, i śmiało powiedzieć mogę, że go wziął za cel moich postrzeżeń, nie z samą tylko oschłą ciekawością filozofa, ale z serdecznem zamiłowaniem *con amore* prawdziwego filantropa.

Ramię, na którym siedząc rozpoczynałem moje studia nad cerą ludzką, było tak ślicznie utoczone, białe, i za każdym odetchnieniem wznosiło się i podnosiło mię tak lubo i rokosznie, że postanowiłem przebywać na niem jak najczęściej. Nie pojmowałem doprawdy, jak

i dla czego mógł mój poprzednik polubić tę ciemną framugę za piecem i stronić od takiego dobrego człowieka, jakim wnet okazał się dla mnie mój właściciel? — Nie przestawał on pieścić się ze mną, i raz poraz zadawał mi pytania: — Cóż to mi się stało, że się osmieleń tak niespodzianie i osiadł mu na ramieniu? — Z czem doń przylatuję? — Czy nie wiem jakich dobrych wieści o Leonie? czy zdrów on? czy myśli o Natalji? — Czy nie umiem przynajmniej powiedzieć: kiedy wróci?

I po każdym z tych pytań, byłem całowany w dzióbek, słodszy od miodu, i wonniejszy od cząbr i róży pocałunkiem.

Jakże mi było smutno, że nie mógł odpowiedzieć na żadne z tych pytań! — Ztem wszystkim sam nie wiem, dla czego przykrą mi była, niemal dolegliwą troskliwość, jaką okazywał mój młody właściciel o tego jakiegoś Leona. — Tak bardzo jest on nim zajęty — myślałem sobie — że gotów jest o mnie zapomnieć, gdy wróci ten nieobecny! — Z uczonego mi wszakże pytania: czy myśli Leon o Natalji? i z samego głosu młodzieńca, w którym zdało mi się natychmiast, że sły-

szał ten sam głos com go sądził uczoną mową ptaszyny, zmiarkowałem nareszcie, że moje domysły o pojętności ptaków ziemskich, i nadzieja zapoznania się wkrótce z genialną gołąbką Nataliją, były stracone: bo oczywiście tę pierwszą podsłuchaną przezemnie rozmowę prowadził z Leonem nie kto inny, tylko mój terażniejszy właściciel, i on to sam miał na imie Natalija.

— Dziwna rzecz! — myślałem — co teraz to już nawet nie zgadnę, który z nich dwóch jest poetą? Ale przynajmniej objaśniają się mi i znikają wszystkie moje cudowne przypuszczenia o tutejszych ptakach. Jasna rzecz, że Leon i Natalija są to dwaj młodzi przyjaciele od serca, jak zwyczajnie młodzi: bardzo być może nawet, że dwaj uniwersyteccy studenci, którym zdarzyło się coś przewinąć, albo poszły w niesmak kursa: a więc bez wiedzy i pozwolenia rodziców, uchylili się tu sobie, i nim dadzą się przebłagać rodzice (do których na zwiady widać puścił się teraz Leon), muszą biedacy starać się o chleb powszedni i pracować na ostatnie siły, jak się wyraża w swym liście Natalija. Teraz pojmuję całe znaczenie

tych czułych pytań: — Czy myśli o mnie Leon? co porabia Leon? czy prędko wróci? — Ani słowa, krytyczne położenie pozostałego biedaka! Nie lepsze może i wysłanego na zwiady! — Nie darmo-ż to było onegdaj tyle tych całusów na rozstaniu, że aż mię one uspiły! O najsluszniej się mówi: że nie nie zawiązuje czulszej i ściślejszej przyjaźni, jak spólna niedola! Otoż i klucz całej tej zagadki, która mi z razu zdawała się tak niepojętą! — Jak to nie wiele potrzeba dla człowieka umiejącego myśleć i wnioskować, aby po nici dojść kłębka! A jednak nie jeden z moich kolegów, podróżując na mojem miejscu — tylko cóż to za podróz dla Boga! — napaplał-by takich bredni o tutejszych ludziach, jak ten co mię zbił z tępu swoją relacją o ptakach-pocztylionach! Żal mi prawdziwie biednych młodzieńców, i mam sobie do wyrzucenia, że nie wiedzieć dla czego rozdał się na troskliwość Natalji o Leona. Bardzo naturalnie, i nie ma w tem nawet żadnej przesady, a tem bardziej poezyi, że jeden z nich mógł mówić do drugiego: za ojca, wuja, braci, za wszystkich a wszystkich niech ci stanie twoja wierna,

biedna Natalija! Jednej grammatyki może tu tylko trochę braknie: bo zda mi się, powinienby on być powiedzieć: twój wierny biedny Natalija! Ale któż-by znów chciał być tak barbarzyńsko ścisłym dla tych młodziuchnych poetów, którzy może z łaski jakiegokolwiek grammatyki powszechniej i udrapnęli sobie z uniwersytetu! — Jednego tylko jeszcze nie rozumiem dobrze w liście Natalji. Pisze on do Leona: mój mężu! Zdało mi się z początku, że to jest jakiś stopień pokrewieństwa. Ale gdzież tam! prędzej być może, że jest to sobie wyraz bez znaczenia, coś tak dla podłodzenia listu, jak w listach na naszym planecie stawi się z góry tyle kropeczek, ile pocałunków, setnych lat, lub uniżoności, przesyła się tą razą kochanemu korespondentowi.

Właśnie byłem na uprzątnieniu tej ostatniej trudności, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Marcelli, chwiejący się jak igła magnesowa, zbliżająca się do hebrydzkiej wyspy Cannaj *).

*) Wiadomo, że nad brzegiem tej wyspy znajduje się opoka z samego prawie kamienia magnesowego,

Właściciel mój, wnet go o list zagadnął: ale zaćny poseł nie usposobionym był do trudu stosownych odpowiedzi. Oczywiście nie omieszkał on skorzystać z podanej rady, i zapewne nie po raz jeden musiał zasilać swoje czerce serce.

Wyznam przecież, rad byłem szczerze, iż mi się tak prędko nastąpiła sposobność ujrzenia pijanego tuziemca: bom liczył na niego, jak na najlepszą pomoc do moich psychologicznych postrzeżeń. Widok upojenia nie był mi zupełnie nowym. Na moim rodzinnym planecie zdarzają się też przykłady nietrzeźwości, ale niezmiernie rzadko: gdyż nasze winne jagody, choć bardzo wytwornego smaku, użyte nad miarę, okazują na wszystkich bez wyjątku jedną i tę samą własność: iż jakby czarodziejsko zniewalają do mówienia każdemu bezwzględnej prawdy i wywnętrzania własnych skrytości. Ztąd pochodzi, iż tylko ludzie bez wady i bez zółci, mogą u nas upijać się bezpiecznie: wszyscy zaś dyplomacy, urzę-

wego, sprawiająca nagle i znaczne zboczenie igły magnesowej.

dnicy, służący i tak nazwani przyjaciele serdeczni patrzą na grona z najwyższem oburzeniem, i jeżeli upijają się kiedy, to chyba *incognito*, do poduszki, lub w głuchej bezludnej ustroni.

Otoż rad byłem z nienormalnego stanu P. Marcellego, dla tej mianowicie przyczyny, żem spodziewał się posłyszeć od niego o wszystkim co mu było wiadomem o Natalji, dowiedzieć się o słabościach i przywidzeniach mojego pięknego pana (a szło mi o to nie lada, abym wiedząc co mu się podoba lub niepodoba potrafił zastosować się do jego nawyknień), w końcu chociaż wiadomość o tem bardzo mi była obojętną — byłem przygotowanym do wysłuchania autobiografji samegoż Pana Marcellego.

Stało się jednak inaczej. Podchmielony sługus był wprawdzie bardzo rozmownym, prawił nam o wszystkim w świecie: i o sobie i o ludziach i o panu pisarzu pocztowym i o koniach i o jakichś innych nieznanym mi jeszcze bestyach Żydach, których obwiniał ciągle o zabiezenie mu drogi: ale całe to opowiadanie, wracające ustawicznie do jednej te-

my o Żydach, nie doprowadziło mię do żadnego innego pragmatycznego wniosku, oprócz że zabiezenie drogi przez Żydów, uważa się u ludzi ciemnej cery za złą wróżbę.

7.

Właściciel mój nie mniej odemnie zdawał się znudzonym tą encyklopedyczną wymową. Z rzadką przecież cierpliwością, czy może tylko w skutek roztargnienia, trwał on długo w swojej trudnej roli słuchacza: lecz gdy Marcelli zakrawał oczywiście raczej się wytrzeźwić niż ustać w improwizowaniu, Natalija wymówił się na koniec przed nim grzecznie, że dla bólu głowy, nie może go słuchać z należytą uwagą dalej — wziął kapelusz i wyszedł.

Okazało się wszakże, że ta piękna cierpliwość, której nie mogłem się oddziwić w moim młodzieńcu, była tylko skutkiem roztargnienia.

Bo ledwieśmy wyszli na dziedziniec, i jam ujęty ponętą swobody uleciał sobie na chwilę w powietrze, gdy mój właściciel, jak gdyby ze snu zbudzony, wykrzyknął na głos i uderzył w dłoń.

Nie spodziewałem się, że najniewinniej przyczynię mu niespokojności. Słowo daję, że ani myślałem ulecieć od takiego dobrego pana: chciałem tylko czas jakiś pounosić się i pospiewać w górze, ożywić się czystsze powietrzem, a potem wrócić znowu na moje kochane ramię: aby ten dobrowolny i nieoczekiwany powrót posłużył za rękojmią mojego zupełnego oswojenia i wierności. Tak też i zrobiłem. Ale mój postępek źle został ocenionym.

— A tuś mi mój kochany zbiegu! — powiedziano z radością, której świadkami były i łzy w oczach i nieskąpione mi pocałunki: ztem wszystkim — uważcie co za niepodobieństwo aby człek z ptakiem zrozumieć się i zaprzyjaźnić mogli? — Ztem wszystkim nie wypuszczono mię już odtąd z ręki, i grzecznie, z uściskami, ze wszystkimi honorami, ale zamknięto mię do klatki.

— Cóż to za ziemia! — myślałem sobie — gdzie sama możność ucieczki mieni się już przewinieniem! I gdyby też doktorowi filozofji odjąć tak wszystkie sposoby do jego nieoceny- nionych badań, dać mu tylko kwadratową sto- pę przestrzeni, i kazać patrzeć na świat przez szczeble klatki, jak przez okulary! Cóż dzi- wnego że nieruchomość, że brak postępu za- rzucają się filozofji! nie jej wina!... — któż wie, z drugiej strony, czy nie lepiej sobie po- czynął mój poprzednik, że trzymał się skrom- nie swojej ukrytej framugi i stronił od to- warzystwa tutejszych ludzi. Bo cóż to jest za istota, proszę, ten biały z duszą zda się tak dobrą i tkliwą, a przecież tak samo- lubną?

I pełen gniewu, oburzenia, cale odmien- ni niż dotąd oczyma rzuciłem na Nataliją.

Ale biedny młodzieniec, z głową opartą na rękę, siedział u okna i płakał gorzko, nie mogąc znać wytrzymać tego mojego spojrze- nia i żalując że mię uwięził. W jaką to go- dność i potęgę moralną — uważcie! przyobleka się każda istota nękana — nawet ptaszyna nad człowiekiem!

Jużem czuł nad nim litość: nie chciałem wszakże okazać jej natychmiast, aby przynaj- mniej pozostała mu i zbawiennie ciążyła pa- mięć niewdzięcznego względem mnie postępku; z zamiarem więc nie zwodziłem zeń moich groźnie zachmurzonych oczu.

Aż nierychło, osmielił się on przecię bie- dny wznieść na mnie spojrzenie pełne łez i szczerego żalu.

— Przepraszam cię, kochany skowrone- czku, po sto razy przepraszam — rzekł z ci- cha i westchnął. Za cóż masz dzielić moję smutną dolą, gdy twoi spółbracia tak są szczę- śliwi i weseli pod niebem. Leć z Bogiem! Mo- że tak on ulitować się raczy i nad mojem sie- roctwem!

To mówiąc otworzył na ścież okno, a po- tem moję klatkę, i zaczął machać chustką, by mię wypłoszyć. Klatka rozkołysała się straszliwie, lecz jam z całych sił uczepił się za pręcik, i dałem poznać stanowczo, że nie wylecę.

Wtedy Natalija zatrzymał klatkę i pom- knął ku mnie swą rękę: a jam natychmiast zbiegł po niej ze śpiewem, z podniesionemi

skrzydłami, i przysłoniłem się do znajomego mi ramienia, w takiej właśnie postawie, w jakiej zdarzało się wam widywać zapewne przytulonego do ziemi skowronka, podczas gdy wisi nad nim w powietrzu i klekoce podorlik.

Pieszczoty te moje zostały wzięte za znak radości z ofiarowanej mi swobody. Zdziwiły one, ucieszyły i rozczuliły Nataliją. Trwając wszakże w swym szlachetnym zamiarze, zdjął mię on z ramienia, ucałował i posadził w otwartem oknie, chcąc zapewne widzieć przynajmniej poraz ostatni, w którą stronę polecę?

Lecz gdzież miałem lecieć i po co? Gdybym się urodził ptakiem, tęskniłbym bezwątpienia pod niebiosami i byłbym rad i szczęśliwy z mojego śpiewającego życia: bo litościwa opatrność odmówiła z zamiarem tym powietrznym śpiewakom pamięci, która by ich wiecznie dręczyła, że ptak drapieżny w każdej chwili może na nich nalecieć. Ale z ludzką przezornością, z tem bojaźliwym na wszystkie strony spojrzeniem, którem nasza mądrość zatrąwa nam na każdym kroku uczucie prawdziwego nawet szczęścia, posiadać skrzydła maluchnej bezbronnej ptaszyny! — O nie mię zaiste nie nęciło do wylotu.

Wróciłem więc prościuteńko do ręki Natalji, i wstyd mi niemal było słyszeć pochwały mojemu przywiązaniu i wierności.

Ale te drobiazgowy wrażenia kogoż obchodzić mogą? — Nikomu z was zapewne na myśl nie przyjdzie stać się małą ptaszyną.

8.

Cały ten dzień pierwszy ciągnął mi się długo i smutnie. Natalija chociaż był dla mnie bardzo uprzejmym, okazywał ciągle oznaki najwyższej niespokojności: wzdychał, chodził zadumany po pokoju, poglądał z utęsknieniem w okno, ożywiał się widocznie jakąś nadzieją za najmniejszym szmerem z dziedzińca: gdy zmierzchno wreszcie i wszystko ucichło, zamknął na klucz drzwi od swojego pokoiku, zapalił świecę, usiadł nierozebrany na sofie i zaczął czytać jakąś książkę, długo mając oczy nieruchomie utkwione w jedno miejsce; z czego łatwo wniesć mogłem, że wię-

cej był on zajęty własnymi myślami, niżeli czytaniem.

Jedną razą u okna, którego górna szyba była otwartą dla wolnego powietrza, dały się słyszeć ciche słowa: — « Jeszcze nie śpisz? Natalijo! »

Na ten głos, młodzian mój wstrząsnął się cały, lecz jakby wątpił jeszcze, czy go słuch nie mami? przysłuchiwał się znowu.

— « Nie lękaj się Nataleczku! otwórz i przygotuj się prócz mnie, ujrzeć jeszcze kogoś nieznajomego! » — mówił głos cichy z podwórza.

Poznałem: był to głos Leona.

Natalija porwał świecę i już był w sieni, zkad mię wnet zaczęły dochodzić radośne powitania. Wkrótce otworzyły się drzwi naszego pokoiku i weszli dwaj przybyli. Jeden z nich był tegoż prawie wzrostu i taki miał na sobie ubior co i Natalija: drugi znacznie wyższy wzrostem trzymał przez pól Natalija, całował go w szyję i ukazując na swojego towarzysza, mówił z uśmiechem:

— Daruj Nataleczku, żem cię zdradził, uwiódl, i co jeszcze gorsza, tak długo nie

prosił cię o przebaczenie, ale przywożę ci i rekomenduję moją pierwszą żonę.

Poznałem natychmiast z głosu, że mówił to Leon: nie mogłem jednak zrozumieć dobrze treści jego żartu, bo wyraz żona był mi tajemnicą.

— A więc mam wyręczycielkę, na którą mogę zdać prawem pierwszeństwa, obowiązek uległości, i kochania takiego nieczułego męża: sama zaś przywilejem drugiej żony, z góry zacznę z tobą wojnę, żeś nie napisał do mnie podług przyrzeczenia, i naraził mię na tyle niespokojnych godzin — dzięki Bogu, już zapomnianych! — mówił śmiejąc się kochany mój Natalija.

— Przebacz mu to Pani! i mnie razem — odpowiedział przybyły — gdyż z mojej to winy, i na moją prośbę nie pisał do niej Leon. Chciałam zjawić się tu i poznać moją kochaną bratową, jak dawno już tego z sereą pragnęłam, ale tajemnie — jak muszę.

— Więc to Paulina! ostatnie serce, na które miałam jeszcze nadzieję, że się nas nie wyrzeczy! — zawołał Natalija rzucając się w objęcia młodzieńca.

— Nigdy! nigdy! chociaż-bym nawet miała sięgnąć na siebie los Leona! — odrzekł ze łzami przybyły i nawzajem czule całował Natalija.

Wszyscy trzej, Leon Natalija i Paulina zdawali się mi braćmi, tak mieli podobne twarze i tak równe, serdeczne okazywali ku sobie przywiązanie. Lecz Leon wyglądał znacznie starszym, miał ciemniejszą cerę, był daleko mocniej zbudowanym, i w głosie, spojrzeniu, ruchach, w samym nakoniec ubiorze, oczywiście bardziej zastosowanym do jazdy konnej i do szybkich obrotów wojskowych niżeli do wygodnego domowego pożycia, wydawał żołnierza. Od pierwszego rzutu oka przyszło mi na myśl to przypuszczenie, i jak najlepiej mi wytłumaczyło uderzającą różnicę między nim i dwoma młodszymi braćmi.

Ze Paulina dotąd nie był znajomym Nataliji, i że nawzajem czynili sobie oświadczenia przyjaźni i niezem nigdy niezachwianego przywiązania, to im nie przeszkadzało być braćmi. Cóż? jeden z nich mógł być kochanym od rodziców pieszczonem, aż do słabości i nierozdzielnie był trzymanym w domu, drugi od

dzieciństwa mógł być oddanym na naukę i wychowanie gdzieś daleko, na cudze ręce — jak to zdarza się czasem i na moim planecie — bardzo więc łatwo stać się mogło, że teraz poraz pierwszy spotykali się z sobą dwaj bracia. Może też Leon tem ściągnął na siebie niełaskę rodziców (a ciągle o tej niełasce i o sposobach przejednania była pomiędzy nimi mowa, i wszyscy trzej nazywali rodziców spólniemi), że bez ich wiedzy i zezwolenia namówił Nataliją do wojska? Co do Pauliny, ten widocznie zjawiał się tu tak tajemniczo dla tego, że miał zakaz widywania się z braćmi. A może też i on — jak nieraz bywa z wybranymi od rodziców dziećmi — stęsknił sobie wśród domowego szczęścia pieśczęt rodzicielskich i przybywał połączyć się z braćmi. Pojęta swobody i własnej woli, choćby o suchym kawałku chleba, tak wielką jest dla młodzieży!

I leżąca na stoliku gazeta, na której z nudy spojrział kilka razy, trąbiła o jakiejś wielkiej wojnie i tryumfach bezprzykładnych jeszcze w dziejach świata, jak mówił wydawca. Ale po pamiętnej usłudze, wyświadczonej mi przez dziennikarzy, nie mogłem

siebie zniewolić do skończenia relacji tutejszej gazety. Bardzo jednak być może, że trafił tu właśnie na jakąś wojenną zawieruchę, do której młodzież zawsze i wszędzie garnie się najpochopniej, a wszyscy z wielkiem uszanowaniem i oklaskami robią jej miejsce, i ustępują pierwszeństwa!

— Jutro — myślałem sobie — objaśni mi resztę.

I zapatrując się filantropicznie z wierzchołka klatki, na trzech młodzieńców ściskających się raz poraz i gwarzących bez przerwy, czułem jak mi nieznacznie zmniejszyły się oczy, jak poniewolnie zachylała się szyjka, jak mi obojętniały barwy i losy całego świata: ufundowałem się więc mocno na prawej nóżce, utuliłem głowę pod skrzydłem, i zasnąłem, mniemam, tak lubo, jak mędrzec marzący pod potrojną pierzyną, o transcendentalnej Jaźniażni!

9.

Daleko przed wschodem słońca obudziłem się nazajutrz, ale już nie było Pauliny. Kochany mój Natalija spał jeszcze, upiękniony zda się snem cichym i szczęśliwym zapomnieniem rzeczywiście: a Leon już pisał przy biurku, z widocznym natężeniem myśli, strzegąc się wszakże, aby nawet szelestem pióra nie przebudzić brata. Z leżącej książki w obcym języku, z pilnego w nią wpatrywania się piszącego, i z przekreśleń kiedy niekiedy z cicha czynionych w piśmie, przekonałem się że Leon zajmował się tłumaczeniem. Cożkolwiek go zbudziło tak wczesnie do tej niewdzięcznej pracy,

czy chęć nauki, czy sławy, czy najsilniejsza ze wszystkich pobudek, walka może z dojmującym ubóstwem, zawsze zdał mi się pięknym i godnym poszanowania ten jutrzenny trud młodzieńca.

Już był dzień biały, gdy się obudził Natalija. Ledwie otworzył on oczy i ujrzał pracującego Leona, rzucił się ku niemu, ślaniając się jeszcze, też od niedługiego zapewne czasu, powisł mu na szyj, osypał go puklami swych ciemnych włosów, i całując go w twarz, w ręce, i przeproszał i wymawiał mu ze łzami, że spał aż dotąd.

— Droga Nataleczku! tyś nie spała ani trzech godzin!

— A ty ani chwili, męczenniku! A takem cię prosiła, błagała, modliła: zbudź mię gdy dokonasz rozdziału!

— To też patrz, kochanie, żem go jeszcze nie skończył.

— Tak, nieskończyłeś, nieskończyłeś — może już drugiego! Ach! jak chcę być szczęśliwą, on już w połowie trzeciego! O mój Leonie, mój biedny mężu! Nie zabijaj się ty dla mnie! Spocznij, spocznij natychmiast! Ach!

jakeś ty błady! tyś już chory! Otoż Boże mój Boże! do czegoś go przywiódła! O przekleci ci księgarze!

— Uspokój się mój Aniele! Nie mi, i a nim sobie wspomniał o spaniu. A księgarza zmiłuj się, nie przeklinaj mi, bo nie dostaniemy roboty. Nie jego wina, moje życie, że wszędzie są biedni, którym z pracy rąk żyć trzeba. W mieście kilku takich się łączy, i tłumaczą oni księgarzom pręcej i nawet taniej nierównie, niż na tę cenę, jaką nam wyjednała Paulina. Wiesz-że Natalecisku ma jaki sposób wpadła ona dla obmyślenia nam raz na zawsze dochodu? Z przyjaciółką swą Hrabinią T. pojechały do księgarza, uprosiły go do zapisania się na członka towarzystwa dobroczynności, i zamiast pierwszorocznej jałmużny na rzecz towarzystwa, którą otrzymać nie tak-by może było łatwo, wymogły na nim, że każdego miesiąca dawać on nam będzie różne rzeczy do tłumaczenia, za opłatą od arkusza. A tak, dzięki Bogu, możemy liczyć spokojnie, na opędzenie pierwszych przynajmniej potrzeb.

— O ta nieporównana Paulina! Ile mi ona

szczęścia swem zjawieniem się przyniosła. Miły jej obraz nie schodził mi z oczu i we śnie, żem nawet obudzić się nie mogła. A te desenie, włóczki, widział-żeś je Leonie, to ona mi nadawała, abym mieć mogła w pomoc i własne jakiegokolwiek, choć szelągowe dochody. Ale spać mi, spać zaraz, mój drogi Leonie! Ja tu na twojem miejscu nakładnę wprawdzie strasznych bąków ortograficznych i z tuzin galicyzmów, za które zawsze mię łajesz, ale choć niewiele przysporzę ci roboty, postaram się za to, abyś miał herbatę.

Targi te dwóch braci, tak drobiazgowo i niezajmujące w opisanu, miały przecież dla mnie niewymowny powab. Poraz pierwszy byłem świadkiem przywiązania dwóch ludzi, całą duszą sobie oddanych, i przemawiających do siebie jakimś nieznanym mi dotąd językiem wzajemnego poświęcenia się, za szczeron którego ręczyły ich twarze, głosy, spojrzenia. Przybylec ze sfery, gdzie nawet uczucia braterskie noszą stępel filozoficzny i o tyle tylko okazują się na zewnątrz, o ile są wyrozumowane, coraz bardziej zadziwionemi oczyma zaczynałem patrzeć na tę ziemię, na której

trawki nawet śpiewają sobie o jakiejś miłości serdecznej, a młodzi ludzie *serio* trwonią czas na pieścizotach i uściskach i śmiechach i żalnościach, jak dzieci około ruchomej kukielki. I tyle prawdy przeświecało się w tych wszystkich żalach i radościach, tyle szczęścia i upodobania zdawały się znajdować te młode istoty, prawiąc sobie rozmaite androny, pozbawione wszelkiej filozoficznej zasady, że pomimo ciągłej pokusy do pustego śmiechu, nie ustawałem w ciekawości. Szczególniej chciało mi się poznać Nataliję. Rzecz dziwna! nigdy jeszcze żadna idea filozoficzna nie zajmowała mię tyle.

Gdy więc Leon zasnął i Natalija na jego miejscu zajął się pilnie pracą, dla rozerwania nieco mojego młodziuchnego tłumacza, zbiegłem z klatki, okrążyłem parę razy po pokoju i usiadłem w otwartej fórtce od okna, grożąc wyłotem. Natalija, jakem przewidział, z pośpiechem powstał od biórka i stapał ku mnie cichutko. Lecz gdy już już dosięgał mię ręką, osrożyłem się niby, uderzyłem go skrzydełkiem w palec i pierchnąłem za okno, dla tego jedynie, aby kochany mój właściciel zmuszonym był

mię gonić i oświeżył się trochę porannem powietrzem.

Usiadłem, ile sobie przypominam, na pierwszym od okna krzaku malin, i zapatrzyłem się cały we drzwi gankowe, czekając nie bez pewnej dumy i miłości własnej: jak też skwapliwie te drzwi się otworzą i wybieży stroskany Natalija?

W rzeczy samej dał się on widzieć natychmiast, i wołał mię i biegł ku mnie prosto. Jużem zrywał się lecieć ku niemu, gdy nagle jakby niewidzialną jakąś siłą pochwycony, uczułem ból ostry, jak gdyby dwa rzędy strzał przeszły mię na skroś. Słyszałem za sobą jakieś krzyki, niby głos Natalji, słyszałem lekką pogoń stopy ludzkiej, ale chęć lotu, śpiewu, instynkt kochania ludzi były mi teraz obojętne. Biegłem chyżo czas niejaki po ziemi, potem ze śmiałością i zaufaniem lunatyka wdrapałem się pięciutko na szczyt dachu, ztamtąd, gdy mi się zdało że jeszcze jestem goniony, w oka mgnieniu zeskokczyłem na ziemię, i wnosząc się śpiesznie od mieszkań ludzkich nie zatrzymałem się aż gdzieś daleko, śród zboża. W całym tym biegu, sam czułem że mi jakoś niezwy-

czajnie świeciły oczy, żem się gniewał i mruzczał na tych, którzy chcieli odjąć mą zdobycz: rzecz dziwna jednak, głodnym nie byłem wcale i nie umiałem sobie zdać sprawy, dla czegoż zadarł tę ptaszynę? Żal mi się owszem zrobiło, żem ją zadarł.

— Może też mi ona jeszcze pobieży? — myślałem sobie — i będę miał przyjemność pogonić ją znowu, choć trochę!

Ośluchawszy się więc pilnie do koła, żem był już wolny od pogoni, położyłem mojego ptaszka leciuchno na ziemi, i odsunąłem się o kilka kroków. Gdy się nie ruszał, miałem jeszcze przez czas niejaki nadzieję, że mi się on tylko przytaił. Podbiegałem więc ku niemu, z piętnaście może razy, i to jedną to drugą łapką trącałem go ostrożnie: i drogobym dał, zda się, gdyby mi on podbiegł jeszcze choć cztery kroki — ale biedny! już nie żył.

10.

Biografja kota Murra, która w wiele lat potem wpadła w me ręce, zdała mi się parodyą tak biedną, pomyślałem tak nieszczęśliwie powziętym, że przez samą tylko grzeczność nie chciałem wręcz zaprzeczyć wdowie sławnego fantastyka, gdy mi ona opowiadała: że nieboszczyk Hoffmann pisząc to dzieło, wypił około dwóch tysięcy butelek piwa.

Rzekłem więc tylko szanownej matronie:

— Nie raczysz-li Pani mylić się czasem o jakie tysiąc butelek?

— Ale, zmiłuj się Pan! — odpowiedziała — mąż mój passyami lubił kotów, i mogę urę-

czyć że znał i zgłębił, co się nazywa, ich naturę, cnoty i przywary. *Er hat sie studirt durch und aus*, — przydała patrząc mi w oczy, jakie też wrażenie uczyni na mnie niemieczyzna.

— Jest to rzecz, na której i ja znam się nieco — odpowiedziałem pokornie. — Był czas, gdy ten sam człowiek, którego Pani widzisz przed sobą, piastował niezazdrośne dostojęństwo kota.

— Możesz mi Pan mówić jeszcze cudowniejsze rzeczy, jeżeli mu tylko sprzyja fantazyja. Wdowie Hoffmanna nie zabraknie zapewne cierpliwości. Zkądinąd żart jego jest z siebie przezroczysty. Przymilać się, łasić, w końcu udrasnąć, jest to kategoria, przez którą wcześniej później, ale wyłączając jednego może w świecie mojego pocziwego Hoffmanna, koniecznie musieli przechodzić wszyscy mężczyźni.

— Ręczę Panią, że bez żadnej a żadnej allegoryi, miałem sobie zaszczyt, być przez niejaki czas kotem. Jeżelibyś raczyła odczytać moje pamiętniki z tej epoki mojego bytu spisane, mam nadzieję, chociaż nie ubliżam w niczem talentowi znakomitego jej małżonka, że

nie wahałabyś się Pani uznać sama, iż nieboszczyk Hoffmann uważał z dowolnego, że niepowiem niewłaściwego stanowiska, wiele wad i przymiotów swojego idealnego Murra, że za nadto upiękniał charakter tego bohatera, i w ogólności więcej czerpał w skarbach swojej nieprzebranej fantazyi....

— Och! dla czego-żes mi Pan nie powiedział od razu że masz wygotowane pamiętniki kota! Postrzegłabym się natychmiast, że mogę tą razą uważać się nieobowiązaną do bronienia pamięci mojego dobrego Hoffmanna. Mój Boże! co też to za nielitościwa w tym wieku jakaś słabość na wielu ludzi uczonych, nie przepuszczająca nawet uczonym pierwszego rzędu: że nie mogą oni, bez oczywistej dolegliwości, ani słyszeć o tem, iż ktoś śmiał już, lub śmie jeszcze choć brząknąć na temat od nich grywany, i jak się im zdaje, im tylko jednym znany wyłącznie. Tak Hammer i Sękowski, jak mi mówiono za rzecz pewną, chorują z gniewu każdą razą, gdy się zjawi ktoś nowy z prawdopodobieństwem na imie orientalisty. Tak jeden z nowszych naszych pisarzy, który ma być podobno wojskowym, ale przez

stratagemat nieużywany od czasów Achillesa, przebrał się w strój kobiecy, oburza się głośno, jak tylko ktoś z jego kolegów, choćby dla rymu tylko wspomni o strzelaniu. — « Jak — to! strzelać! — woła on zaraz — strzelać « nie znając prawideł taktyki, i nie odgryzł — « szy wprzód ładunku! ależ, panowie moi! « kto zaś to widział! To piorunujący anachronizm, i pudło niezawodne pudło! » — Jeżeli ta chorobliwa drażliwość i nadal ma grassować między piszącymi, to na miły Bóg, łaskawi Panowie, nie miejcie przynajmniej za złe kobietom, które z waszej-że łaski mamy sobie nadaną jakąś niby namiętnostkę do strojów, gdy cierpimy nieco i usiłujemy pokryć nasze cierpienie, na widok kapelusza, sukni, szalu, lub ubioru głowy, bez różnicy takich samych, jakieśmy sobie nie bez długiego trudu i narady ze zwierciadłem, wybrały nakoniec i że tak powiem, wypracowały do twarży.

Sarkazm ten podeszłej wdowy, tem dotkliwszy, że ze spokojnym sześćdziesięcioletnim uśmiechem wypowiedziany niby bez zamiaru, spiorunował mię, że tak powiem: jeżeli bez znajomości taktyki meteorologicznej i nie będąc ani

razu jeszcze zastrzelonym od piorunu, wolno jest użyć podobnego porównania.

Bądź co bądź, postanowiłem sobie, jeżeli nie spalić moje pamiętniki (gdy to już jest niepodobna za naszych czasów postępu, i tandem w hojności doczekanego *honorarium*), to przynajmniej odroczyć ich wydanie na czas nieograniczony.

Pozostaje mi więc tylko dla porządku, który jest duszą wszystkich rzeczy, opowiedzieć w kilku słowach: jakim sposobem skończyłem moją kocią karierę?

Dnia jednego, uprzedziwszy wschód słońca, wyszedłem sobie zapolować z rosą na młode zajączki. Gonić krok w krok takie skoczne i ruchawe licho, było to zawsze dalekiem od mojego sposobu myślenia. Układłem się więc na miedzy, kędy z mych uwag, koniecznie wypadało mknąć tym, jużei też głupiuchnym bo hezbronnyim istotom, i w słodkiej nadziei zarzemałem sobie tym snem rokosznym, bardziej podobnym do przyjemności ustawicznego zasypiania i niby marzenia na jawie o niebieskich migdałach, ale wolnym od trudu pół-czuwania i pół-myślenia, zawsze mniej więcej do-

łęgliwego — słowem zdrzemałem się tym roskoszonym snem kocim, któremu tak niegdyś zazdrościł Ali-basza. Aż jedną razą — ręczę was, że nigdy żaden Mazur nie zamałował tak szybko kmotra w policzek — jak spadł na mnie, okraczył szponami, i unióś w powietrze orzeł. Z razu mruzcąc, fukać, parskając *furioso*, *furibondo*, wyrabiać hieroglify łapani, w końcu miauczeć żałościwie, błagalnie, *calando*, *smorzando*, *morendo* — wszystko to było, ale nie nie pomogło. Owszem, za każdym przeraźliwszem nieco miauknięciem orzeł wstrząsał mię silnie, jak złośliwa piastunka. Wkrótce wzniesiliśmy się tak wysoko, że pomimo straszliwej boleści zostawania w cudzych pazurach (o której pomimo codziennej praktyki własnej, nigdy jakoś nie mogłem powziąć dokładnego wyobrażenia), zacząłem lękać się nareszcie, aby mię nie upuścił mój drapieżca: bo na nic-by mi się nie przydało pospolite mniemanie, iż koty rzucone z najwyższej wysokości bez szwanku stają prosto na łapach — i nie zawodnie rozłukłbym się na miazgę. Szczęściem do tego nie przyszło. W kilkanaście minut, w przeciągu których, jak mi honor miły,

tak mógłbym był nie tylko policzyć: sześćdziesiątne podziałki sekund i sekundek, ale nawet zaznaczyć je pazurami, i przychodziło mi na myśl kilkanaście najdokładniejszych definicji czasu, które-by były ozdobą filozofji, przylecieliśmy nakoniec na wierzchołek jakiejś stromej góry czy skały, bo już mię zgoła nie obchodziła wtedy ta różnica. Tu zemdlony, zbolały, przepelniony nienawiścią życia, lecz czując się przecieź, że nie wiszę już w powietrzu, i nie ciążę sobie tym gwałtowniejszym od dwiestu atmosfer własnym ciężarem, zapragnąłem spojrzeć przynajmniej: od kogo ginę?

Lecz gdy otworzył oczy i ujrzał wahałą się nad sobą ogromną głowę, z tym straszliwie zakrzywionym, jak szabla turecka, dziobem, który oczywiście dla tego tylko zwlekał z uderzeniem, by tem silniej ugodził, w nie mi się rozwiła moja filozoficzna wiara w nieśmiertelność zbiorową, a przeciwnie jakaś niekzemna bojaźń zgonu tak mię ścisnęła za serce, że ani wiem ani pamiętam: jak, i kiedy z kota stałem się orłem?

Kogo by mogły dziwić lub niecierpliwie podobne przemiany, dla tego że nie opisujemy

sposobu, jakim się one z nami zdarzały, temu raz na zawsze, składamy w pokorze parę odpowiedzi, z wolnym w nich prawem wyboru. Naprzód: przemiany, których tylekroć doznaliśmy na sobie, podobnie jak Pytagoresowi, zdarzały się nam zawsze nagle i bezpoznać z naszej strony. Powtóre: wiadomo z podania z ludu: że Herbutowie po zgonie zamieniali się w orłów. — Jak i dla czego? biedne podanie i w tym razie obłąkało się od przyczyny, jak owca od pasterza. Więc filozofija dorobiła klucz do tej tajemnicy. Bo — powiada ona:

Każde życie śmierć znachodzi,
A śmierć każda życie rodzi.

Wiersze, jak widzicie, nie najosobliwsze, jak każda rzecz dorabiana, jak np. dorabiany nos u Belwederskiego Apollina: ale kwadrują — i basta!

11.

Gdyby orłem być! — O tak, ani słowa: jeżeli już być ptakiem, to każdemu z was życzył-bym być orłem!

Gdym po raz pierwszy szybował nad obłokami, nie czując znużenia ani bojaźni (pioruny — widzicie sobie — były podemną: już ci też starożytni nie bez przyczyny przypisywali orłom funkeją noszenia gromów!) mimowolnie przyszło mi na myśl, jakie to małe i biedne szczęście latać lotem jakiegokolwiek np. skowronka? W drobiuchne piórka jego skrzydełek, jak w szczeliny jakie, ledwie że się przecieska powietrze: gdy tymczasem pióra orle wypeł-

niąją się tak lekko, swobodnie, organalnie — właśnie, właśnie organalnie! Jeźliby żył jeszcze Bach stary, podrzucił-by on do góry perukę i zaświadczył-by głośno o prawdzie tego mojego porównania. Ale pokój jego popiołom! Czyli-ż nie macie Moniuszki! Spytajcie Stanisława Moniuszki, gdy wstaje od organu, jeszcze pod wpływem natchnienia, jeszcze nie osłonięty swoją nieporównaną skromnością, spytajcie go wtedy znięta! On wie, czuje, i powie wam: co to jest być orłem?

Lot bez najmniejszego trudu, to lekki i za ledwie ruchomy, jak gdyby się było obłokiem albo puszką jesienną, to znowu szybki jak strzała: wzrok zdolny dostrzedz z pod obłoków przebiegającej po ziemi mrówki, i bez olśnienia, owszem z jakąś rokoszą obracający się do słońca: słuch niewymownie czuły, i powonienie zachwytyjące kilka mil szlaku, którym przeleciało stado gęsi albo łabędzi — były to jakby nowe zmysły, których nabyłem w terazniejszej mojej przemianie! Nie też naturalniejszego, żem się rokoszował i pływał i krzyczał pod niebem, jak prawdziwe młode orle. Szczególniej lubo mi było przypatrywać

się słońcu. Jakieś słodkie zaspokojenie ogarniało mię wtedy całego, i czułem się tak szczęśliwym, bo pojmowałem sercem: że niema wyższego dobra nad światło.

Lecz i król ptaków musi przemyślać o sposobach życia. Z niechęcią więc, ale nader często odrywałem się od moich kontemplacji słonecznych, snułem się oczyma po ziemi, i goniłem, zabijałem biedne gęsi, głuźce, dropie, zające.

Jednego poranku, mgła nieprzejrzana zalegała ziemię, i jam spał jeszcze moim snem czujnym na wierzchołku jednego z najwyższych nadniemeńskich dębów, gdy z nagłą przebudziły mię rześiste gromy, wielokrotnie powtarzane echem cichego poranku. Wężyki światła, zupełnie do błyskawic podobne, tylko znacznie mniejsze gdzieś daleko migwały we mgle nad ziemią, i wnet po nich dawał się słyszeć huk potężny w skołatanem powietrzu. Zdało mi się więc przez kilka chwil pierwszych po przebudzeniu, że się znajduję na którejkolwiek z krymskich lub alpejskich gór nadobłokowych, gdzie mi się już zdarzało miewać noclegi. Wkrótce jednak, przypomniałem sobie gdzie jestem, po-

znałem moje złudzenie, i lubo po raz pierwszy jeszcze słyszałem wystrzały działowe (gdyż wynaleziona przezemnie machina piekielna, o której wspomniałem na początku, ani w setnej części nie była tak głośną jak te wasze piorunujące działa), odgadłem przecież jakby instynktem, że muszą to odzywać się te straszliwe narzędzia wojny, o których dawniej już zasłyszałem coś z powieści: że jakiś ziemski mędrzec - czarnoksiężnik miał je wywołać z piekła.

Sam nie wiem wszakże, dla czego okropne te wojenne hasła podobały się mi i przejmowały mnie radością. Rozwijałem i prostowałem skrzydła, jak gdybym się sposobił do długiego lotu, ostrzyłem dziób mój, wyciągałem i opatrywałem szpony, i krzyczałem z całej mocy, chcąc mieć tą razą braci moich orłów świadkami i spółnikami mojej radości. Jakoż w rzeczy samej, wkrótce odezwało się mi kilka głosów orlich, chociaż na całym horyzoncie nie spotkałem wczora żadnego z mych towarzyszy: i całe stada kruków zaczęły nadciągać.

Zdarzało mi się potem słyszeć nieraz od ludzi wojskowych i nawet czytać dowodzenia

uczone, że orły, kruki i inne jeszcze ptaki mają jakiś zmysł sobie właściwy, jakies złowrózbe przeczucie, w skutek którego zjawiają się zawczasu, gdzie tylko ma być pole śmierci. Nie zaprzeczam rzeczywistości tego faktu, ale nie mogę się nie uśmiechnąć nad marzeniem mistyków i magnetystów, którzy biorą ztąd zaraz pochop do rozprawiania o cudach sympaty, i o jakimś wieszczem powonieniu ptaków. Zapewne że drapieżne ptaki, tropią i ściągają swą zdobycz w powietrzu takim-że poszlakiem, jak psy gończe i inne drapieżne zwierzęta po ziemi, ale przypuszczać iż zdolają one odgadnąć samem powonieniem, gdzie i kiedy zostanie stoczona śmiertelna walka? — od takiej strategicznej znajomości, przynajmniej w imieniu wszystkich orłów dajcie mi skromnie się wymówić. Bo jeżeli niekiedy starzy myśliwi utrzymują poważnie, że umieją rozpoznać, zaledwie psy odezwą się w kniei: czy zwierz zostanie zgonionym i zabitym, czy ujdzie cało? to już należy do kombinacji wytrawionej sztuki, które aby posiadać, potrzeba być koniecznie starym myśliwym i mieć młodych słuchaczy. Lecz i dla czegoż, zapytał-bym was

— kiedyśmy już zeszli do strzelania — psy gończe i wyżyły drzą, skomlą, i skaczą na widok przymierzonej strzelby? — dla czego koń myśliwski, bez żadnej podniety, wskok leci, gdy w polu pomknie zajęc i ruszą za nim charty? — dla czego, gdy niepodobna już wszystkimi ponętami trąbki nawołać ogarów, myśliwi zaczynają strzelać, i na to ostatnie hasło, psy prawie zawsze zjawiają się do trąby? — Jeżeli te wszystkie pytania dają się roztrzygnąć bez pośrednictwa magnetyzmu i mistyki, to powiem wam po prostu i bez żadnych już ogródek, panowie moi, nie zabijajcie, nie zostawujecie ciał niepogrzebionych, a nadewszystko nie oznamujecie na wszystkie cztery strony świata, tą swoją piekielną kanonadą, iż gotujecie ucztę dla sępów i kruków, a ani im przyjdzie do głowy, ciągnąć wesołą czeredą za waszemi pułkami, i zjawiać się zawsze w porę, gdzie tylko ma być pole śmierci!

Cate to rozumowanie jużci też było potrzebnem. Gdy każdy opis jest rodzajem ruchomego, postępnego malowidła, i powinien mieć właściwy sobie koloryt, cienie i perspektywę, opisując więc np. poranek mgłą nie-

przejrzaną zalegający ziemię, koniecznie potrzeba jakiegokolwiek ustępu, nim mgła rozrzednieje, opadnie, i w przyzwoitym czasie okaże się dobroczynne słońce, piękne i jasne, jakie w rzeczy samej weszło dnia tego nad horyzontem Nienna.

Po obu stronach tej rokosznej rzeki, jak mogłem zajrzeć teraz okiem, lśniły bronie i roily się piesze i konne pułki.

Były to oczywiście dwa hufce nieprzyjacielskie. Wrzały one podniesioną do najwyższego stopnia żądzą spotkania, i czekały tylko hasła. Bo łatwo było widzieć że oczyma toczyły już one z sobą walkę, i połyski ich oręża migotały groźnie, i krzyżowały się na cichej wod powierzchni, więc bronie w ich ręku znać drżały: gdy w tem po prawej stronie dal się słyszeć, wnet powtórzony stokrotnie rozkaz odwrotu; wojska zaczęły go wykonywać spiesznie ale smutnie, niechętnie.

rzekę: lecz i tonący nawet, ku wielkiemu mojemu podziwieniu, do końca wznosili okrzyki: Niech żyje Cesarz!

Niepodobna było, patrząc na to poświęcenie bez granic, nie uzalić się losu tych ludzi, i nie zapragnąć ujrzeć przynajmniej nadzwyczajnego człowieka, który do tego stopnia umiał sobie przyswoić serca i myśli podwładnych, że nawet w godzinę zgonu życzyli mu oni jak najdłuższego życia, jak gdyby w tem jednym życiu środkowało wszystko, co zostawiali oni miłego na ziemi.

Z tą myślą wzleciałem wysoko, aby mi snadniej było patrzeć, i zacząłem krążyć nad wojskami. Lecz nawet dla orlego oka, była to praca trudniejsza daleko od pracy bartnika szukającego matki wśród roju. Bo nie mówiąc już o nieprzejrzaney liczbie tych pułków, ale-ż tyśiące naczelników postawy myślącej, wrażliwej uszanowanie, i w rzeczy samej na każdym kroku otaczanych wojskowemi honorami, na przemian pociągało ku sobie moję uwagę. Kilkakrotnie już mi się zdało, że znalazł głównego wodza, ściagałem więc go pilnie całemi oczyma: a w tem zjawiał się ktokolwiek, co

12.

Jedną razą, z przeciwnej strony, kilkudziesięciu jeźdźców w lekkim uzbrojeniu, rzuciło się wpław do rzeki, jak gdyby nie mogąc doczekać końca czynionych do przeprawy przygotowań. Ale prąd wody był w tem miejscu bystry choć cichy, głębokość znaczna, a niektóre konie były widocznie do pływania nie nawykłe: wkrótce też uniósł je i oddzielił od szeregu pęd rzeki, i biedni jeźdźcy, dla ocalenia życia zmuszonymi byli rzucić się z siodeł i płynąć o własnej sile. Kilku z nich, mimo wszelkich starań towarzyszków, utonęło w mych oczach: innym udało się szczęśliwie przebyć

uderzał po ramieniu, albo brał pod rękę namianowanego przeczemnie Cesarza, i tak zniżało moje złudzenie. Po długim i nadaremnie śledzeniu w zamęcie tego roiska, jakby oświecony nagle szczęśliwą myślą, zawróciłem znowu ku brzegowi rzeki. On musi być nad przepaścią! — rzekłem sam do siebie — gdyż w przeciwnym razie głosy tych nieszczęśliwych co tonąc w mych oczach, wywoływali zdrowie Cesarza, do kogoż by były zwrócone? Jeżeli nie widzi on tego poświęcenia bez granic, i niesłyszany tych błogosławieństw przedśmiertnych, to chyba mu los zazdrości najpiękniejszej chwili życia, a tym biednym odmawia najwznioślejszej osłody zgonu, że przekazują mu w świętym obowiązku miłość i wdzięczność dla reszty swych braci! — W rzeczy samej, przekonałem się wkrótce że wśród officerów niższego jak się zdawało stopnia, stojących na wzgórkach o paręset kroków od przepawy, znajdował się sam Cesarz. Lecz po cóż mam się chlubić? Nie odróżniłem go natychmiast po tych znamionach genjuszu, które w nim od stóp do głowy jaśnieć miały, podług słów moich spółbraci; z kądną patrzył on wciąż w perspe-

ktywę, nie mogłem więc spotkać tą razą jego nieporównanych oczu, wyznam zatem jak było, że go poznałem jedynie po oznakach uszanowania i po odpowiedziach otaczających. Lecz sądziecie o mojem podziwieniu i radości, gdy w liczbie tych ostatnich ujrzałem Leona! Ubiór wojskowy znacznie go odmieniał, upiękniał: niepodobna mi przecież było go nie poznać. Przez czas niejaki stał on najbliższym Cesarza, który mu zadał kilka krótkich i bystrych pytań o miejscowości. Przy każdym słowie Cesarza, uszczęśliwiony młodzieniec drżał z radości: gotów był on zda się lecieć, zdejść z miejsca, i przynieść na dłoni wszystkie te wioski, góry, lasy, o które go zapytywał Cesarz. To mi po raz pierwszy dało pojęcie uroku, jaki wywierał do koła siebie ten człowiek przeznaczenia. Nie tysiąc razy potem, widziałem podobne przykłady. Ci sami, którzy mu zlorzeczyli przed chwilą, którzy przyrzekali sobie opuścić go, lub nawet targnąć się na jego życie, na sam widok przecież tego nadzwyczajnego wodza, na jedno jego słowo, nie wahali się ani chwili z ofiarą własnego życia. Tak, to był genjusz! Ztem wszy-

stkiem, chociaż w tej dobie znajdował się on właśnie w pełni sił i wieku, i nigdy potężniejszych nie miał w swem ręku sposobów, w ciągu całej tej wszakże blisko trzechset milowej klęski (bo i postęp i odwrót tej nieszczęsnej wyprawy był klęską, a biorąc udział w losie Leona byłem jej codziennym świadkiem) lubo miałym do wyliczenia mnóstwo świetnych, szczęśliwych, genialnych czynów wielu dowódców podrzędnych, i mógłbym złożyć całą Illiadę cudów odwagi i mężstwa żołnierzy, nie umiałbym przecież przytoczyć ani dwóch prawie czynów głównego wodza, które-by były godnymi jego dawnej sławy, i w rok potem rozwiniętej, jakby nakoniec przypomnianej genialności. Może też uspiły ją te ogromne, i tak niemyślnie, nad potrzebę zda się wyrachowane przygotowania, które podobało się Bogu w nic obrócić, dla wiekopomnej nauki: czem to jest najwyższa nawet ludzka potęga i najszczęśliwsza дума! — I w rzeczy samej, tak nazwany geniusz człowieka jest to właśnie przemysł o wielkich rozmiarach: tworezość więc jego najjaśniej się objawia i najbardziej zdumiewa, im mniej go otacza danych, widzialnych pospolitemu oku.

Bądź co bądź, ten wódz przedtem i potem tak wielki, zdało się, że w pierwszych dniach przesilenia swojego szczęścia, nie chciał ani widzieć, ani przyjąć zaszczytnej odmiany, zmrużył powieki i marzył snem fatalizmu: a ilekroć przebudzać go śmiano, okazywał taką że tak powiem Kserksesowską drażliwość na opór samych nawet żywiołów, że nieraz to boleścią to gniewem miotany, postanawiałem sobie opuścić go i odlecieć. I chociaż jakby jakąś czarowną nicią wiązany, wracałem doń znowu, jednak na dni kilka przed pamiętną bitwą Borodina ujrzałem mię unoszącego się nad znamienitym starcem, który przejmował w tej chwili dowództwo i nieuznaną sławę po swoim skromnym poprzedniku, dla podzielenia jej z nim na równi w przeszłości.

bicia i załamania promieni słonecznych, które w wyższych warstwach atmosfery niejednokrotnie zdarzało się mi oglądać, ujrzałem znową przed sobą cały obraz tej krwawej bitwy najwierniej odcieniony w powietrzu, jak gdyby oderwany od ziemi. Był to prawdziwy kaledoński plac boju rycerzy Ossyana: zkądinąd, widzenie podobne zapewne do tego, jakie musiało mieć miejsce podczas sławnej bitwy Rzymian z Germanami, gdy obu wojskom się zdało, że cienie poległych wzniosły się do góry, i nie przestają wściąg walczyć z sobą i zachęcać do walki.

Ale odbicie, miraż czy *fata morgana*, które w tej chwili miałem przed oczyma, było straszliwsze może i okropniejsze jeszcze od swojego rzeczywistego obrazu. Bo co to jest, wyobraźcie sobie, krocie tysięcy ludzi, w najdzikszej zaciekłości zwartych z sobą na tak małej przestrzeni, że każdy krok wstecz i naprzód, również prawie wypada śmiertelnym. Nie ma tu ani podobieństwa, aby w kimkolwiek choć zjawić się mogła myśl o własnem ocaleniu, kiedy nawet odwaga, męstwo, zręczność nie nadać nie zdołają, a wszystko roz-

13.

Długo nie podobna mi było widzieć olbrzymiej bitwy Borodyńskiej. Pole jej, patrzącemu z pod obłoków zdało się śród dnia białego, jakby kawałkiem pozostałej piorunowej nocy, wylewem chmury, wirem zatrzymanej na jednym miejscu trąby powietrznej.

Odleciałem więc o podal od tego zięjącego piekła, i choć mi nie przestały dochodzić jego gromy, zamienione jakby w jeden straszliwy nieskończony łoskot, miałem przynajmniej przed sobą czysty widok, i mogłem z przyjemnem wytchnieniem obrócić oczy ku słońcu.

Jedną razą, skutkiem tej dziwnej gry od-

strzygła siła, samojedna siła — jak niegdyś za najstraszliwszych czasów wojen ludzkich. Są to jakby dwa niezmierne smoki, zwite i mocujące się z sobą tysiącem różnobarwnie połyskujących pierścieni. Lecz wszystkie te pieszce, konne, nacierające, roztrącane, kaleczone tysiącem sposobów, passujące się rękami, rozdzierające sobie nawzajem czeluści, tylko co pełne życia i już konające i jeszcze grożące sobie po śmierci — postaci, dla tego właśnie dzikszyszy i okropniejszy wyraz miały dla mnie w tem atmosferycznym widzeniu, że nie mogąc zasłyszeć wrzawy wojennej i jęków bołości, patrzyłem z przerażeniem na jakąś niemą, krwawą, drgającą w ostatnich wysileniach, lecz jakby zaklętą na milczenie w rozpacz, a więc straszliwszą od piekielnej nawet katuszę.

Długo nie śmiałem zbliżyć się do widziadła tej morderczej walki. Lecz okrążywszy je kilkakrotnie, gdy się upewniłem, że tkwi na jednym niemal miejscu (bo wiecie jak długo jednego nawet kroku nie ustąpiły tu sobie oba wojska), wleciałem nakoniec w sam wir boju. Jeźlibyście mogli sprawdzić kiedy me położenie

i być świadkami podobnego zjawiska, uznalibyście sami, że było to z mojej strony dosyć odwagi. Znalazłem się jak Dante wśród narodu zatracenia — ale bez mistrza i przewodnika. Połyski różnego rodzaju broni migwały dokoła mnie bez przerwy, i lśniły od promieni słonecznych jak błyskawice: całe szeregi szły z sobą na bagnety, i cicho padały we krwi jeden na drugim, jak pokosy z poranną rosą: konie tratowały rannych i zmarłych: kule i kartacze roznosiły ustawicznie śmierć niewidomą; słowem, było to jakby przedstawienie walki bogów z tytanami — jakaś homeryczna pantomina! I jakże się z nią harmonijowały pełne obmyślonej spokojności i rozporządzające w tej chwili tysiącami śmierci, postaci obu dowódców! Przypatrywałem się im długo. Jeden był ciągle na koniu, przejeżdżał z wolna, i jakby miał za rzecz niepodobną aby los bitwy wypadł inaczej od powziętego przezeń planu, słuchał obojętnie czynionych mu doniesień i prawie nie odmieniał raz danych rozkazów; dostrzegłem jednak wkrótce, gdy doń z bliska podleciał, że w twarzy miał on wyraz najdołęgliwszego cier-

pienia. Bolała go zapewne ta przerażająca zaciętość i niepewność walki, czy trafił nienawykły widok, że te mężne i na jego słowo gotowe pułki biegły wścież naprzód z rozkazem zwycięstwa, i nie spełniwszy rozkazu znikwały niby w przepaści? Byłbym pozostał przy tem mniemaniu, jeźliby nowe kilkakroć powtórzone postrzeżenie, nie odsłoniło mi prawdy. Wódz cierpiał fizycznie, pasował się oczywiście z gwałtownie dojmującą boleścią, od czasu do czasu przyjmował jakieś leki i zamykał oczy i nie zdołał prawie mówić pochwycony cierpieniem. Otoż może przyczyna, dla czego zdawał się on raczej czekać wypadku bitwy, niż rozporządzać, jak zwykle, jej losem: dla czego nie chciał odmieniać treści swych pierwszych rozkazów: dla czego jakby nie słyszał prośb, przełożeń i modłów, aby wprowadzić do boju te nieczynne jeszcze i wrące z niecierpliwości zastępy, które by zapewne stanowczo rozstrzygnęły zwycięstwo!

Drugi wódz - starzec przedstawiał jedyny w swoim rodzaju widok. Jeźliby go można było uważać odrębnie na tem strasliwym pohojowisku, i tak nawet byłby to najpiękniej-

szy obraz, przypominający jakiegoś znakomitego wodza, jakiegoś starożytnego Scypijona lub Fabrycyusza, rozpamiętywającego na przyźbie domowej o dniach niebezpieczeństw i chwały. Lecz wśród bezprzykładnej w dziejach świata walki, i w obec liczniejszego nie zwyciężonego aż dotąd nieprzyjaciela, któremu przewodził olbrzym szczęścia i wojny, jak-że tkliwym i wielkim musiał być w swojej prostocie widok białego starca, siedzącego spokojnie na wzgórzu, na malutkim drewnianym zedelku, słuchającego w milczeniu doniesień, często ocierającego łzy na wieść o zgonie któregoś z walecznych towarzyszy, często podnoszącego oczy ku niebu, i rozsyłającego na wszystkie strony rozkazy, zachęcenia i prośby w imie Boga, Cesarza i ojczyzny! Widziałem jak święcie były spełniane słowa tego patryarchalnego wodza. Officerowie najwyższego stopnia i prości żołnierze ubiegali się z sobą o pierwszeństwo śmierci. Ile-ż tu czynów odwagi, poświęcenia się, przywiązania ku dowódczom, miałbyś do uwielbienia!

I jakże był wielkim w mych oczach ten wódz drugi, naczelnym przed kilką dniami, co

starał się być wszędzie, szukał śmierci jak szczęścia, i zdawał się mieć ciągle na ustach pamiętne słowa Fryderyka Wielkiego pod Kunnersdorfem *)!

Lecz i z drugiej strony równe było męstwo, również nad ludzkie usiłowania. I nie mogło być inaczej. Gdyż w przeciwnym razie, jakżeby wypadek tej morderczej walki pozostał nierozstrzygniętym w przeciągu tylu godzin, z których każda najmniej dla kilku tysięcy ludzi wybiła tu po raz ostatni!

Ze szczególnem wszakże zdumieniem patrzyłem na ustawicznie ponawiane z obu stron natarcia, na jedną z panujących nad polem bitwy redut, o zajęcie której szło im znać bardzo. Tu wrzał hój w największej sile: krew

*) — «Co się mnie tycze osobiście (pisał Bar-klay de Tolly po bitwie Borodynskiej do Cesarza «Alexandra), poddaję się bez szemrania mojemu losowi. 26 Sierpnia nie spełniło się najgorętsze moje «życzenie. Opatrzność oszczędziła życie, które mi jest «ciążarem.»

Patrz: Bantysz Kamińskiego: Biografije Rosyjskich Feldmarszałków. Część 3 str. 183.

co po całym placu strumieniła się niby w otwartych żyłach, ztąd jak z serca zdawała się wylewać. Najwaleczniejsi generałowie stawali tu na czele i jakby dla zakłęcia gromów, któremi bez przerwy zionęła ta straszliwa reduta, sypali z pełnych dłoni przed siebie ozdoby wojskowe: żołnierze lecieli naprzód i znajdowali dosłownie: śmierć albo laury.

Tu kilkakrotnie widywałem Leona, to jako obrońcę reduty, to w liczbie walecznych usiłujących o jej odzyskanie. — Jedną razą, w mych oczach, pochylił się on na łęku, cugle mu z rąk wypadły, i koń go poniósł na stronę.

Goniłem czas niejaki za cieniem biednego mojego jeźdźca. Żył on jeszcze, lecz musiał być niebezpiecznie rannym, gdyż przycisnął obie ręce do lewego boku i z bolesnym wysileniem tamował oddech, jak gdyby chciał przez to zatrzymać życie: krew mu jednak już broczyła ręce; tymczasem koń unosił go w całym pędzie i wkrótce znikł mi z oczu w zaroślach ciągnących się na zachód od pobojowiska.

Znużony i zasmucony obrazem rzezi nie pojętej mi z powodów, i nie obiecującej ustać aż zapewne z nocą, lękając się przytem abym już na zawsze nie stracił z oczu jedynego

człowieka, co mię z bliska zajmował wśród tych nieznanych mi tysięcy, zniżyłem lotu i poleciałem ku lasowi w ślady za Leonem. Zhukany koń jego pędził jak strzała z dróżyny na dróżynę, przedzierał się w najgłębszą gąszcz lasu, minął kilka polanek, jak gdyby żadnej z nich nie uważał jeszcze dość bezpieczną ani dla siebie ani dla swojego pana, aż zatrzymał się wreszcie nad stromym brzegiem rzeczki cichej lecz mętnej, bo tyle już w nią krwi się wylało, bo płynęła ona z pod Borodino. W tem miejscu Leon zsunął się z konia, jeszcze o własnych siłach, postąpił parę kroków ku rzece, lecz nie mogąc zdążyć dalej, padł na murawę: chociaż za dłoń wody mógł-by on teraz dać krwi dwakroć tyle. Koń ze smutnie zwieszoną głową stał nad nim. Jam siedział na bliskim drzewie, patrzyłem na męczarnią biednego młodzieńca, słyszałem jego jęki, i ręczę was tak szczerze i głęboko czułem się wzruszonym, że nawet miałem sobie za złe tę niespokojną orlą radość, jaką mimowolnie obudzał we mnie widok krwi i niewątpliwej śmierci tego młodego żołnierza.

Tymczasem Leon coś mówił głosem ci-

chym, omdlałym, mogłem jednak dosłyszeć jak wymawiał imię Natalji. Wzywał-li on do siebie tego swojego ulubionego brata, czy z nim się żegnał, czy przekonany filozoficznie: że żadna myśl, słowo, uczucie nie giną powierzone matce-naturze, ponieważ duch natury i duch człowieka jednym-że i tym samym są duchem — chciał mieć słońce i wiatry świadkami i posłańcami swoich przedśmiertnych myśli? — Wkrótce mogłem upewnić się z radością, że się nie zawiódł na tem ostatniem przypuszczeniu, radykalnem niegdyś w mojej teorii. Młodzieniec już nie starał się zakrywać swej rany, lecz wsparł jedną ręką o ziemię, drugą dostał z za piersi jakiegoś obrazka, patrzył nań i cisnął go do ust i zalewał się łzami. Było to zupełnie w duchu mojej nauki: o wszech-myśli i bezwzględnej jedni ogólnego ducha natury. Zdało mi się jednak że będzie to dla umierającego pewien rodzaj pociechy, gdy mię on ujrzy teraz przy sobie, choć jedną ożywioną całością, choć jednego świadka ostatnich jego uczuć. Zleciałem więc z drzewa i stanąłem tuż przy nim.

Ale na mój widok, Leon zadrżał mimowolnie, upuścił z ręki obrazek (wtedy mogłem dostrzedz że był to wizerunek Natalji), i zebrawszy ostatnie siły, dobył szabli.

— « Jeszcze żywy! » — zdało się że mówił mi on grożąc pogasającymi oczyma.

Lecz ta nicma groźba wyczerpała znać ostatnich życia. Biedny ułan padł na wznak i zamknął powieki.

— Kilkanaście godzin lotu! — myślałem sobie — a mogę odnieść ten obrazek Natalji, tak że nawet jeszcze nie zupełnie oschną na nim ślady krwi i łez Leona. Cóż robić? braterskie serce Natalji zaboli, gdy przeczyta z nich swą stratę, lecz uspokoi się przynajmniej w tej wielkiej błogiej pewności: że duch Leona przestał być nakoniec biedną cierpiącą jednostką, i już się upierwotnił, ocalił, upowszechnił!

Z tą ulubioną mi filozoficzną myślą skoczyłem na pierś zmarłego, ująłem szponami plecionkę z miękkich ciemnych włosów, na której był zawieszony portret Natalji, i jużem ją był potargał — gdy straszny raz z góry ugodził mię w samą głowę.

Dość-by było i nawet trzykroć nadto tego jednego uderzenia, bo orzeł leżał już przedemną z rozpuszczonymi skrzydłami, skrwawionym otwartym dziobem i zwiniętymi szponami: alem nie przestał bić go, podrzucać, tratować podkowami, i jakbym wąpił jeszcze czym mu zadał cios stanowczy, podbiłem go raz i drugi tylnemi nogami tak potężnie, że o kilkanaście kroków padł w krzaki. Wtedy wróciłem do mojego biednego Pana i rżąc wesoło kopałem nogą ziemię. Jeszcze mi się zdało, że on się obudzi, wstanie i pogładzi mię po szyi i już mi nie każe wracać do tego grzmiącego piekła, z którego go wyniósł niedawno, lecz puści mi cugle i da siebie odnieść w te szczęśliwe dalekie strony, gdzieś nigdy swobodnie rośl na błoniach, biegał za moją matką, roskoszował się w cieniu w gorące dni letnie, wyrządzał psoty wieśniakom wpadając na ich niestrzeżone smugi i niwki, albo upędzał się za mojemi rówiennikami, strasząc ich wciąż brzęczącym z mej szyi dzwoneczkiem.

— Biedne złudzenie, doktorze Panteuszu! Ten co się wprawił w to upakarzające dumanie, w tę grę zwodniczą wspomnień niewła-

stnych, już ci się nie obudzi! Cóż że mu kopiesz ziemię, jak grabarz mogiłę? Wszak go w niej nie pochowasz! Ani wystoisz z tą swoją smutnie zwieszoną głową powrotu do życia temu, kto już zamienił swój lichy byt ekscentryczny na doskonale zespolone i świadome siebie stnienie. A tyle tu masz bujnej, wonnej, posilnej trawy do koła! Więc gdy już tak dawno nie uczęszczaaliśmy na łąki, zapomnijmy o wszystkim, napaśmy się za dobrej chwili, i co żywo dalej, o najdalej od ludzi, jak na pierwotnych synów swobodnych stepów przystało!

Rzecz jasna, żem tak myślał i rozumował moim filozoficznym myśłem. Tymczasem zwierzęca obłoga którą podobało się losowi mię upośledzić (bo zaraz coś jakby mię tknęło, że terazniejsza moja przemiana musi być upośledzeniem — katempsychozą, jakby był powiedział Pythagoras) — zwierzęca, mówię, powłoka moja, nawykła do rządzenia się biednym poziomym instynktem, stała jak wryta nad swym dawnym Panem. Ani dojmujący głód obok obfitej paszy, ani pragnienie tuż nad bieżącą wodą, nie zdołały jej zachwiać i obudzić z odrętwienia.

Nie umiałem mej jaźni zdać sprawy, z tego upornego i nielogicznego przywiązania. Bo była-li jaka potrzeba, proszę, odmawiać sobie pokarmu, i jak słup-skaziciel stać nad zwłokami, które nie więcej należały do Leona, ile np. jakakolwiek willa, w której przywykłyśmy widywać kogo przez lat kilka — a teraz stała ona otworem do zajęcia, pierwszemu zdarzonemu! — W rzeczy samej, dziś jeszcze mógł tu zamieszkać robak, a jutro zwierzęta i dzikie ptaki obrobiją te znaną mi głowę na preparat, w którym zwinie gniazdo dzierlatka, osiędą ossy, lub jaszczurka wylęgnie swe małe!

Ztem wszystkiem tak mi przeszło kilka godzin. Kiedy niekiedy tylko, sam nie wiedząc dla czego, rżałem głośno, osłuchiwałem się niespokojnie i poglądałem po stronach. Aż jedną razą doszedł mię jakiś szelest w oddaleniu. — To zwierz leśny! — pomyślałem, i wstrząsnąłem się cały, potracony nieznaną mi dotąd obawą. Spojrzawszy wszakże na Leona, pokonałem w sobie mimowolną chęć ucieczki, i gotowałem się do odporu. Gdy w tem dał się widzieć żołnierz, w takim-że, jak był Leon,

ubiorze. Z bezmyślną radością pobiegłem na przeciw niemu. Przybyły zdawał się także być ożywionym radością na mój widok: ztem wszystkim ledwie że spojrzał na mnie, rzucił się skwapliwie do Leona, i najstaranniej zaczął go cucić.

W tej chwili ozwały się zdala głosy, rzecz dziwna, zda się podobne z dźwięku, do tej milej mowy, którą po raz pierwszy posłyszałem na ziemi z ust Natalji: oczywiście przecieź odmienne! I musiały to być głosy nieprzyjacielskie, gdyż przybyły towarzyszy Leona wszelkimi sposobami zaczął mię naglić, abym biegł w stronę (znać się on lękał, abym nie sprowadził nieprzyjaciół mem rżeniem, albo też chciał mię odpędzić w przeciwną stronę, by dać mylny odwód pogoni) sam zaś pochwycił z pośpiechem Leona, i począł go unosić w gęstwinę.

Pojałem zamiar szlachetnego żołnierza, i rzuciłem się wprost na głosy nadchodzących, jak gdybym dobrowolnie oddawał się im na pojmanie i nawet nie myślał zatrudniać ich ucieczką. Wszyscy więc razem ubiegali się o tę gotową zdobycz. Wtedy niby strwożony tłū-

mną pogonią, umknąłem się pierwszym ręką,
i robiąc niepewne niedalekie kręgi, zatrzymu-
jąc się co kilkanaście kroków, łudząc nadzieją
i drażniąc niecierpliwością mych gońców, od-
wiodłem ich od pierwszego miejsca, najmniej o
parę godzin drogi — aż też noc ta sama, co
rozjęła wielką walkę. Borodyńską, i nas od
siebie rozdzieliła.

15.

Zostanie mi na zawsze pamięć tych cierpień
własnych i widoku tych nadludzkich cierpień,
których w półtrzecia miesiąca potem, przyszło
mi być ofiarą i świadkiem. Pojmiecie mię gdy
powiem, że miałem nieszczęście być jednym
z tych historycznych pociągowych koni, które
z niedobitkami wielkiej armji zdążyły nad
Niemen. Lecz od przeprawy przez Berezy-
nę, któżby był we mnie poznał bojowego
konia! Wynędzniały, zniemożony, kulejący,
z sierścią nastroszoną i okrytą szronem, z za-
krwawionemi powleczoneńmi lodem wargami,
z szyją poranioną, bez chwili prawie wypo-

czynku dźwigając ciężary, nie oglądając nigdy ani ziarnka owsa, skubiąc tylko dorywczo dźbła słomy i siana, któremi żołnierze głowę ręce i nogi mieli obwiązane, odnosząc ustawiczne obelgi i razy, i zdobywając się na ostatnie siły z obawy abym nie doznał nieszczęśliwego losu tylu kolegów, którzy w mych oczach zostali porąbanymi w kawałki i niemal żywcem pożartymi — powiedzcie proszę, mógł-żem myśleć i był-że to czas do myślenia o tem: że jeden z moich znakomitych przodków był Kon-sulem rzymskim, i stał sobie niegdyś nad po-złacanym owsem w konsularnej todze, której zwoje codzien racył poprawiać własno-ręcznie sam pół-bóg Heliogabal *)! Zkądinąd, patrząc

*) O tej tradycji opowiadał nam koń Cesarski, nader biegły w historii starożytnej i z wielkim darem opowiadania. Że jednak znał on to do siebie i zbyt już czuł widocznie kto go dosiada, z powodu więc tej nieukrywanej wyższości, nie bardzo był mile widzianym w armji. Co do mnie, wyznam nawet otwarcie, żem przenoślił nadeń konia Miuratowego i Vice-Króla włoskiego, obu pełnych pustoty, wesółości i najlepszego tonu: w najściślejszej wszakże

na okropniejsze nad wszelki wyraz męczarnie żołnierzy, czułem żem miał tylko do podziękowania filozofji za ten hart w cierpieniach fizycznych i za tę wyższość nad nieszczęście, które tak w porę teraz w sobie znajdowałem. W rzeczy samej, jeżeli kiedy to podczas tej straszliwej zimy mogłoby się widzieć i dotykalnie przekonać: jak daleko biedniej od zwierząt pod względem filozoficznym, i w jakiej smutnej zawisłości od władzy żywiołów utworzonymi są ludzie!

Ci sami, co dotąd nie wahali się codzien spotykać oko w oko ze śmiercią, i ze straszliwszem od niej kalectwem we wszystkich jego postaciach, co obeszlili pół-świata za marą sławy, i ani we śnie już nie daliby się uwieść złudzeniu, iż umrą kiedyś spokojnie w swoich rodzinnych chatkach, ci sami ludzie co żadnej zda się ceny nie przywiązywali do życia, wtedy gdy im kwitło i uśmiechało się we

przyjaźni byliśmy sobie * koniem Księcia Józefa. Odwołując się do tych znakomitości, nie chciałbym aby mię posądzono o jakąś nędzną próżność: *à la veuve de la grande armée* albo *d'une femme de qualité.*

wszystkich swoich powabach, o jakże byli nie-logiczni i godni pożałowania w terażniejszej swojej obawie, i że tak powiem chciwości o kilka chwil pełnego najsroźszych cierpień i dogasającego już istnienia! Rzekł-byś patrząc na te półumarłe, lecz slaniające się jeszcze wśród śnieżnych zamieci tysiące, że w tę stronę zebrał się z całego świata lud kaleków niedołęgów i starców, i oto trawiony głodem, palony gangreną i ledwie dyszący od zimna, słyszy on w poświstach wiatru północnego ostatnią swoją godzinę, a przecież takie jest przywiązanie do życia w tych już nieczułych zkądinąd i bezmyślnych istotach, że ilekroć naniecone ognisko choć cokolwiek ożywi ich siły, nie wzdrygają się one rzucić na ogień umarłych swych towarzyszków — i o nędzarze! kupią się i roztrącają do uczt Ugolina *)!

— Otoż to empirya! — myślałem sobie — otoż to ostateczna miłość znikomego życia!

*) Patrz: list Kutuzowa z Wilna, w pamiętnikach o wyprawie 1813 roku przez Generała Michajłowskiego — Danielewskiego stronie: 68 — 70.

Nie ma zbrodni i nędzy, na któreby nie był gotów człowiek tą miłością zdzieciniały, tak jak niema niepodobieństwa, ani do tyła trudnej i niedostępnej cnoty, do której-by nie zdołał się wzbąć prawdziwy filozof, przeświadczony: że każda śmierć nie jest czem innym tylko dobroczynną fazą, a zwykle przyjęte jej określenie tylko najogólniej i najdowcipniej obmyślonym postrachem!

I wśród tych wszakże nieszczęsnych tłumów, wciąż jeszcze wlokących się dokądś, ale już bez wiedzy miejsca, i drogi, i celu (bo nieraz, byle tylko uniknąć w oczy bijącej zawieci, jak zaczarowane, zawracały się one wprost w ręce nieprzyjaciela), i wśród tych wszakże tłumów zdarzały się przykłady najwznioślejszych czynów i najczystszych natchnień serca. Lecz któż je mógł ucuć, ocenić, ocalić od zapomnienia! Świadcami ich byli pół-odrętwiali pół-obłąkani towarzysze, patrzyli więc na nie spokojnie, pod czas gdy my konie armji wielkiej, obdarzone silniejszymi niestety! funkcjami życia, doznawałyśmy w podobnych razach boleści nierównie sroźszej od głodu i zimna — wielkiej boleści serca.

Wymienię tu tylko dwa, trzy szczegóły takie, którem miał na własnych oczach, i których nigdy nie zapomnę.

Na ciągnionym przezemnie wozie jechał czas jakiś, ładny i młody lecz chory widać żołnierz, bo nawet towarzysze nieszczęścia okazywali mu największe względy. Być może dla tego, że miał on na swej opiece, jak najstarszemu chroniąc i pielęgnując, malutkie dziecko. Niebożę to we dnie i w nocy wrzeszczało okropnie, i z razu nabawiło mię gniewu i złości, a potem prawdziwego żalu i politowania. U koni, jak widzicie, uczucia te budzą się i następują po sobie odmiennie niż u ludzi. Cożkolwiek bądź, po kilku dniach, ucichł naraz ten głos kwilący, co mię na skrót przejmował. Wniósłem ztąd, że biedne stworzeńko przecież umarło. Stakroć mu z tem lepiej! — pomyśliłem. Aż nocą, gdyśmy się zatrzymali przy ognisku, i wszystko co jeszcze żyło, skupiło się koło ognia, dostrzegłem że młody mój żołnierz odniósł milczące dzieciątko na stronę, przewinął je, ucałował i złożywszy na ziemi, śpiesznie zasypał śniegiem: ułamawszy potem jodłową gałązkę usiadł przy tej

mogile, i uśmiechając się posiniałymi ustami, nucąc coś z cicha, machał wciąż gałązką, widocznie mając pogrzebione niemowlę za śpiące, a gwiazdki spadającego śniegu za muchy unoszące się nad kolebką. W tem złudzeniu usnął on wkrótce nad swoją dzieciną, snem tym samym, co ona. Nikt ich nie dostrzegł, nikt o nich nie pomyślał: bo nagle ozwały się w dali pistoletowe wystrzały, ktoś wymówił słowo: «Kozak!» i wnet cały nasz tabor w panicznym strachu ruszył dalej. Ci co zostali przy ognisku, nie lękali się już niczego.

Inną razą, gdy po przebyciu dość znacznej przestrzeni pola zbliżaliśmy się do lasu, dwaj żołnierze wzięwszy się za ręce, oddzielili się od naszej gromady i na ostatnie siły śpieszyli ku lasowi. — «Nakonieć! Przecieć! o dzięki Bogu!» — mówili oni do siebie, widocznie ożywieni jakąś wielką niepojętą mi radością. — Dla czegoż-to oni tak uszczęśliwieni? — pomyśliłem, i przysporzyłem kroku (bo wiedzieć macie, że cokolwiek poznano się na mnie, i bądź jako najsilniejszego dotąd, bądź jako najprzemysłniejszego z koni, przeznaczono mię do torowania drogi, tak że nie marszałek Nej

ale ja to właściwie mógłbym się nazwać i naczelnikiem i przewodnikiem i bohaterem tego oddziału biedaków), — przysporzyłem więc kroku, i nie utraciwszy ich ani na chwilę z oczu, coż ujrzałem? Oto ci nieszczęśliwi, zaledwie zdążyli do lasu, ujęli się mocno rękami za najpierwsze gałęzie, i w zupełnem przekonaniu że nakoniec dopadli koni, które ich zanosą do ojczyzny, zaczęli cwałować z całej mocy, to jest miotać się na miejscu, slaniając się coraz powolniej, coraz słabiej, w miarę tego jak krew stygnąca ścinała się i krzepła. Nakoniec skołowaciel, oparci o drzewa, jakby głęboko zadumani. Och! nad tę jazdę do ojczyzny, nad tę obłąkaną nadzieję ujrzenia wkrótce Roberta, Maryi, Gustawa, o których aż do ostatniej chwili przypominali sobie ci biedni, tylko na Berezynie widziałem smutniejsze obrazy!

Przeprawy przez Berezynę nie widział nikt, od początku jej, do końca. Przydam nawet śmiało, że sam Cesarz nie miał nigdy ani przybliżonego pojęcia tej klęski: ponieważ do jej oglądania, prócz mnie i generała Eblé, nikt nie mógł mieć ani czasu, ani sposobności,

ani mocy woli. Jeżeliby przecież żył jeszcze dzielny Eblé, powiedziałbym i jemu bez ogródki: « Generale! zrobiłeś wszystko co było podobna w tych dniach odmetu trwogi i rozpaczy: po uczynionym wszakże ostatnim przesieku w wozach i trupach, który zbawił jeszcze tak wielu, pozwól sobie przypomnieć Generale, żeś przejechał na drugą stronę spokojnie i za dobrej chwili, a ja... pamiętasz-li tego konia, co wśród dymu i ognia płynącego już mostu, wybiegł na brzeg przeciwny i wyniósł z sobą kilku rannych? — powiedziałeś wtedy głośno: — oto mi dobre, śmiałe i szlachetne zwierzę! — Otoż ja to byłem, Generale, tym koniem, co ostatni ze wszystkich przebył twój znamienity most lewy! »

We wszystkich opisaniach tej nieszczęsnej przeprawy, jakie mi zdarzyło się czytać potem, mówi się tylko: że czoło wielkiej armii zostało wtedy ocalone cudem geniuszu swojego wodza (wódz ten przecież stał zdaleka, niecierpliwził się, naglił i przyczyniał zamieszania!) że wojska dokazały tu rzeczy niepodobnych, że zaprowadzający mosty żołnierze po

szyję nurzali się w wodzie i t.d. i t.d., a le-dwie się wspomina jak o czemś zwyczajnem i nieuniknionem, że część tylnej straży i obo-zów, tłumiąc się w nieładzie do przeprawy, ucierpiała od kilkakrotnego załamania się mostu i artylleryi nieprzyjacielskiej *).

Coż, jeźlibyście mieli kiedy, choć we śnie, takie np. widzenie: — po ślizkiej i wązkiej kładce, wiodącej nad jakąś przepaścią, czy głę-boką rzeką, w której kry szumią straszliwie i ścierają się z sobą, przebiera się ciemną nocą tłum ludzi. Ludzie ci są sobie przyjaciółmi, braćmi, i więcej jeszcze niż przyjaciółmi i bra-ćmi: bo łączą ich z sobą ostatnia nadzieja, ostatnia potrzeba ocalenia. Czas niejaki postę-pują oni w porządku, cichości, wspierają sie-bie nawzajem i strzegą każdego kroku, ruchu, skinienia: bo chwiejąca się dróżyna co chwila może im z pod stóp wylecieć. Jakoż dzięki tym zgodnym usiłowaniom, znaczna część nie-szczęśnych przechodniów dostaje się na drugą stronę. Słyszycie ich okrzyki, patrzycie na

*) Nie wyłączamy tu i opisu P.P. *Chapuis* i *Cha-pelle* pomieszczonego w *National* na rok 1844.

twarze ożywione radością, i choć widzicie że wnet biorą się oni do oręża, że nadbiega nie-przyjaciel i zastępuje im drogę, jużście spo-kojni i bezpieczni z tej strony swojego widze-nia, bo jesteście więcej niż pewni, iż ci lu-dzie co zdolali się wydobyć przed chwilą z nad przepaści, dalej wywalczą sobie drogę: ale wzrok wasz zwraca się z boleścią na ten po-zostały jeszcze łańcuch ludzi zawieszonych nad śmiercią. Obawa wasza o los ich rośnie i wzmaga się wkrótce do najwyższego stopnia. Widzicie że w krok za tą gromadą cisnącą się do przeprawy, nadciąga jakieś wojsko, oczy-wiście nieprzyjacielskie: gdyż na jego widok nieopisany popłoch ogarnia tych nieszczęśliwych. W tej chwili poprzedniki pogoni dają się sły-szeć działa, coraz bliżej, coraz bliżej, i oto pierwsze kule padają do rzeki. Strugi wody prysnęły do góry: ci których choć kropla ich dosięgła, mają się już za śmiertelnie ranionych, tłoczą się więc naprzód w rozpacz: a w tem wystrzały zaczynają grzmieć częściej i już przestały latać na oślep, właśnie jakby ogary, gdy nakoniec pochwycają na oko. — Teraz, patrzcie nie na ranionych, zgruchotanych, roz-

strącanych i padających do rzeki — bo takich obrazów macie przed sobą tysiącami — patrzcie: oto ręka w rękę przedzierają się naprzód dwa tułowy! Oczy was nie mylą: tak jest jak widzicie. Kula działowa ścięła za razem obu tych nieszczęśliwych: ztem wszystkiem kilka kroków zdołają oni ujsć jeszcze, i rzecz opłakana! dwa martwe ciała, nim upadły bez ruchu, w ostatnich miotaniach się śmierci, strąciły do wody kilku żywych. Zgroza! widywałem przecież nieraz podobne przykłady na wazszej ziemi. — Lub oto inna para: dwaj młodzi rodzeni bracia idą obok siebie, utrzymują się nawzajem, nierozdzielni jak we wszystkich bitwach: bo zapewne przysięgli oni sobie: tylko żyć razem i zginąć razem. O niech-że ich niebo ocali! W tem widzicie, jak nie opodal już od brzegu, jeden z nich brat młodszy gwałtownie potrącony ciżbą, pośliznął się nagle, i lecąc w przepaść zawisł już tylko u nogi brata, i ciągnie go za sobą, wołając: «bracie! Coż? brzeg tak blisko!..» Więc w oka mgnieniu brat starszy dobywa pałasza, i bez namysłu, odcina tę rękę ciągnącą go do przepaści. Ale rozpacz, pośpiech, ciżba zwichnęły nieco to uderzenie,

choć mu nadały siły. Skrwawiona ręka, jak widzicie, wisi u nogi bratniej, jakby przyłgnęła do niej i nie miała już oddzielić się nigdy. Lecz czemuż ręka z pałaszem nie wznosi się na powrót? Bo cięcie przeszło na skrós i głęboko zapadło we własną stopę. Już ona z miesca zdźwignąć się nie zdoła. Więc nieruchomą zawadę pośpieszają uprzatnąć towarzysze. I przysięga ocalona. Dwaj bracia o chwilę tylko jeden po drugim upadają do wody.

A w tem, przeciążona tratwa ze straszny łośkotem pęka po samym środku. Ludzie, konie, wozy lecą w głębinę, jak strącona piorunem alpejska śnieżnica: kry wrą i szumią od tej nawały: ale jęków nie słychać, bo zagłuszają je działa, nieustannie jakimś krwawym ogniem świecące w ciemnościach.

— Była-ż kiedy noc taka na jawie? czy to widzenie piekła? — wołacie!

— Była to czwarta noc przeprawy armji wielkiej przez Berezynę.

Jeszcze — jak wiecie — zdążył nad Niemen. Niedobrowolny świadek i uczestnik niedoli tego biednego wojska, potrzeba-ż abym mu towarzyszył w odwozie do tego-ż właśnie miejsca, gdzie je ujrzał po raz pierwszy. Ale jaka różnica! — ledwie wierzę własnym wspomnieniom! — wyleciałem ztąd pięknym, silnym, pełnym podobłokowych myśli orłem, a wróciłem, *horribile dictu*, zniedołężniałą, poranioną, nieczułą szkapą. — Kilkanaście potężnych płazów pałusza wytrzymanych stoicko, choć już na ziemi — takie było ostatnie me pożegnanie z bohaterami świata! Pomyśleli-ż oni

przynajmniej, że m legł za nimi prawdziwym nagrobkiem zapisanym hieroglifami, najszczytniejszą i najrzewniejszą może ze wszystkich *lacrymae rerum*?...

O! wybornie, wybornie na mnie się poznano! Posłuchajcie!

Nie upłynęło może dwóch godzin, jakem dostąpił bezwładnej mej emerytury, gdy ujrzałem przy sobie kilku wieśniaków. Obeszli mię oni dokoła raz i drugi, i ponieważ patrzyłem jeszcze w obie oczy, wnieśli ztąd, że może też zdałbym się do jakiegokolwiek pracy: bo na waszym świecie gadaliwego postępu, bydlę nie powinno mieć spokojnej chwili nawet do wyzionęcia ducha. A więc rękoma i dragami jęli mię oni podważać, nie szczędząc przytem stopniowych wrzasków, w miarę których — jak się zdało tym panom — koniecznie miało mi przybyć siły i zachęty do powstania. Gdy jednak wszystkie te sposoby pozbawiły mię tylko $\frac{3}{4}$, mówię: trzech czwartych grzyw i ogona; a ani na cal nie zdołały podźwignąć z ziemi, stanęła rada, na której uchwalono: naprzód: odjąć mi podkowy, powtóre: zedrzeć skórę.

I wnet siekierami dokonano pierwszej z tych operacyi, ale w sposób tak straszliwie niezręczny, tak odstręczający, że na następną, na honor, nie poleciłbym się nawet ani ręką Apollina *). Szczęściem, o którym sam niewiedziałem, pod ostatnią z odjętych podków znalazł się wizerunek Natalji. Bo raczie przypomnieć sobie, żem trzymał go w mych orlich szponach, gdy uległem terażniejszej przemianie. Pod czas więc, gdy go oglądali wieśniacy, dumiejąc się i wyrывая sobie z rąk do rąk, i zgadując coby to było: guzik czy zegarek? sam nie wiem doprawdy, z kąd mi się wzięło tyle jeszcze siły, tyle chęci życia, ale zerwałem się szybko na wszystkie cztery nogi, i wkrótce byłem daleko od zdziwionych mych oprawców. Biegli oni za mną czas jakiś, wołali zdobywając się na pieszczone głosy, nęcili mię nawet — jakem widział zatrzymawszy się chwilę w bezpiecznej odległości — czapkami, w których niby miał być owies: ale choćby w nich było złoto, i choćbym był nawet

*) Wiadomo, że ten bożek jak najświetniej dokonał podobnej manipulacyi, na Królu Marsijaszu.

człowiekiem, o! nie natrafili we mnie na wielkiego wezyra! Bo jest-że tu jakakolwiek, że niepowiem już dobra rachuba, zaprzedać się, choćby też za najwyższą cenę? Jest to toż samo, co np. dla złota zapisać djabłu duszę. Dusza stracona, i cena wraca znowu do nabywey. Syllogizm całe zda się niezawily, i szatan nim tylko jednym kuglarzy od wieków: a jednak, rzecz dziwna, dotąd mu nie brak fryców!

Co do mnie, unosiłem się dalej, ile mi tchu stało: wymijałem ludzi, dróżyny, radnym był nawet uciec od własnego cienia: lecz bo-jaźń jak trunek, podwyższyła tylko na czas me siły, i wyczerpała je do ostatka. Upadłem dobiegając jakiegoś lasku czy ogrodu: bo tego już rozróżnić nie mogłem, tak mi zupełnie ściemniało w oczach. Lecz po jakimś czasie, gdym je znowu otworzył, miałem przed sobą widzenie tak lubie, że nie śmiałem uwierzyć jego rzeczywistości. Zdało mi się owszem, że ten uroczy obraz, wywołujący we mnie jakieś miłe wspomnienia, jakieś dawne szczęśliwsze chwile mojego życia, był tylko słodkim przedśmiertnem marzeniem, o jakim słyzałem nie-

raz opowiadających żołnierzy, których uratowano od zmarznięcia, lub którym się zdarzało pod czas wyprawy Egypskiej, obumierać z pragnienia na piaskach Arabji. Pierwszem słowem tych nieszczęśliwych była zwykle skarga: czemu ich przebudzono na nowe cierpienia, gdy tak im było już dobrze, i nic nie dolegało, i tak rokosznie, złoto-zielono, cudnie się śniło!

Bo czyż nie miałem powodów do niewierzenia mym własnym oczom i myślom? — osądźcie tylko sami. Patrzę, i widzę przed sobą niby miejsca moje rodzinne, te same właśnie, do których już z pod Borodina ciągnęła mię jakaś bezimienna tęsknota: mniemam rozpoznawać wzgórze, niwki, smugi, przysute w tej chwili śniegiem, ale niewątpliwie te same, na których z rówiennikami pasalem się nieraz, gdym był jeszcze małym i zupełnie prawie na własną wolę zdany konikiem: gdy całą straż naszą stanowił wyrostek śpiący sobie najczęściej w tych oto krzaczkach, albo wiążący plecionkę ze słomy, albo wygrywający na piszczałce jakąś wiecznie jedną i jedną notę, tak dobrze mi znaną, że zda się wy-

tętnił-bym ją kopytami, jeźliby mi tylko chciały służyć siły: pamiętam że za tym laskiem wieś się znajduje, a na jej końcu dwór stoi i stajnia, która mi niegdyś obfitowała we wszystko! Ale potrzeba-ż jeszcze dowodu? Ot słyszę nawet szczekania psów wiejskich, też same chrapliwe, przeciągłe, tak dobrze mi pamiętne: bo ileż to razy przeprowadzały mię one przez całą sielską ulicę!

I jakby dla uzupełnienia moich przypomnień, i ostatecznego zaświadczenia o ich wiarogodności, dał się słyszeć nie opodał skrzyp śniegu, i głos ludzki niby coś wypiewujący, niby rozkładający jakieś gniewy czy żale, lecz w ogóle tak znajomy, tak swojski dla mojego ucha, jak gdybym go słyszał wczora. Podniosłem nieco głowę, i po krótkim zebraniu się ze wspomnieniami, poznałem w tym wędrownym minstreli zimy, Pana Marcellego. Już stał on nademną, a raczej chwiał się w takiej samej postawie, w jakiej go poznałem i zostawiłem onego czasu, gdym był szczęśliwym skowronkiem Natalji. Ostatnia ta okoliczność rozwinęła przedemną nowy szereg pamiątek, tem miłszych, że pochodziły one z najpierwszej doby pobytu

mojego na ziemi. Myślałem sobie z uczuciem: — Zyje-li jeszcze ten drogi i takiego wybor-nego serca młodzieniec? czy też i on śpi gdziekolwiek w śnieżnej zamieci, aż słońce oddech-Boga obudzi go z tej chryzallidy na wiosnę, i przyjmie znowu na łono wszech-życia?...

Dalszy wątek tych dumań przerwał mi naj-niewczesniej Pan Marcelli. Poznał mię on na nieszczęście: lecz niedowierząc jeszcze swoim wspomnieniom i oczom, uzbroił się w okulary, podniósł mą biedną głowę, odszukał wśród szro-nu jakąś strzałkę na mojem czole, nakoniec, po wielu boksach, przywiódłszy mię do zmiany pozycyi bokowej, upatrzył na lewej mojej ło-patce jakieś charakterystyczne piętno, i zawo-łał pełnym już podziwienia głosem: — « Toż « to ty, bratku! o! o! A panicz kaput? co?... « Otoż wam Bonaparte-Polone! Wczoraj « jechał tędy z Panem Wąsowiczem, i czar-« ny djabeł jechał z nimi trzeci! Ale się ani « obejrzeli! — Będzie-ż to tam dziś u nas i « radości i rumania: hu! hu! hu! hu! »

I z tą puhaczą pieśnią, mającą niby wy-obrażać mieszaninę radości i płaczu, oddalił się on przecież. Wkrótce jednak, z przerażeniem

ujrzałem go nadjeżdżającego na parze wołów, w towarzystwie kilku wieśniaków. Bo jaka-ż mi to przybywała pomoc! Petla z powrozów na szyję i nogi, i dwa świeżo urąbane, ostro-sękowate koły, dla podważenia złołej mej bryły!

Takie to *vehicula* (że użyję przynajmniej terminu filozoficznego) dźwignęły z miejsca ko-nia, przewodnika tylnej straży, armji wielkiej! A dalej... *proh pudor!* — ale ani łacina na-wet nie zdoła uświetnić barw tej przygody! — dalej powiozły mię woły!

17.

Jeżeli raczycie być znajomi ze starymi żebrakami, miejscowymi i przechodnimi w waszej okolicy (a nie zaś w tem nie ma naganego, bo i te biedne dusze dość czysty mają początek), otoż pytajcie zawsze ilekroć dzwony ogłaszają zgon któregokolwiek z tych nędzarzy, i zadajcie mi fałsz, chociaż-bym z kolei przemian przemienił się wtedy w samego nawet Dalajlamę, jeżeli się okaże: aby żebrak wędrujący dopuścił się kiedy nieczęstości przerażenia was swym zgonem. Biedacy ci, za zbliżeniem się śmierci, mają sobie za punkt honoru ciągnąć do miejsc rodzinnych (jak dzikie ptaki

i zwierzęta do wireju), i wolą raczej umrzeć na drodze, niżeli pod cudzą strzechą: co większa, sprawdzoną jest rzeczą, że nawet starcy umierający w najlepiej opatrzonych szpitalach, ostatnie spojrzenie zwracają zawsze do swoich szczudeł, a ostatniem ich słowem bywa zwykle pytanie: — «można-ż by jeszcze do zachodu słońca zdążyć do takiej a takiej wioski?»

Musi więc być jakaś szczególna ponęta, przyjemność, rokosz wrócenia na śmierć do smętacza ojców: i upewniam was, że jest to tak wielka, czysta, spokojna, ta nostalgiczna rokosz, że nie ma dla niej miary porównania we wszystkich radościach i nadziejach waszego żywota. Lecz obyście wiedzieli o niej tylko z opisu!

A jam jej doznał rzeczywiście, na widok miejsc, gdzieem się odrodził po raz pierwszy w kropelce rosy, i powziął z niej życie roślinne, i uczuł się potem owadem, a potem szczęśliwym, takim szczęśliwym skrzydlaczkiem! — Cóż dopiero mię czeka — myślałem — gdy wrócę kiedyś — jeżeli wrócę — do mego rodzinnego planety!

Natalija uwiadomiony już o mojem przyby-

ciu, biegł mi na spotkanie. Poznał mię on do razu, i miotany między rozpaczą i nadzieją (bo w rzeczy samej mój powrót bez jeźdźca nie zwiastował jeszcze nic stanowczego: był on zapewne złą wróżbą, lecz mógł też być i dowodem, żem niedawno, może wczoraj, może dziś jeszcze rozstał się z Leonem?) więc pół ze łzami, pół radośnie jął mię on pytać: jak i gdzie i kiedy i czemu, opuściłem Leona?

Jeźlibym mógł mu odpowiedzieć! Lecz oczywiście, że mogłem doń mówić samem tylko żałościem spojrzeniem.

A i tej mowy nie na długo mię stało. Jedną razą, chociaż miałem otwarte źrenice i całą przytomność miejsca, i oblatujące mię jeszcze lube widzenie tych niby rodzinnych pamiątek, nagle ciemność roztoczyła się przedemną. Ciężko zaczęła mi ona nalegać z razu na oczy, potem na oddech i serce. Nie przypominam sobie, czyli co mógł myśleć w tej chwili: bo straszliwa ciemność coraz głębiej wnikała mi do piersi, tłoczyła oddech — i w miarę jej pomykania się następowała bezwładność. Przebieżone od niej części ciała stawały się mi obce i ciężkie, jak sparaliżowane.

Czułem tylko, że znikam, że tracę życie, ale z resztą nie zostawało mi żadnej wiedzy, myśli, pamięci o moim stanie. Jeżeli w ten sposób okamieniała Niobe, to mogę was upewnić, z wszechstronnem systematycznym przeświadczeniem: że akt śmierci, czy to wśród najsroźszych pozornych mąk ciała, czy wśród najdotkliwszych towarzyszących mu udręczeń ducha, jednym słowem, zawsze i stale powinien być ocenianym, podług następującej filozoficznej dylemmy:

— Jeżeli jest końcem, więc tylko wielkim i pełnym grozy, niestrasznym jednak niezem! *Uno grande, maestoso, ma poco terribile niente!*

— Jeżeli błogiem panteistycznym przejściem, doskonalszym stopniem bożostanu, więc bardzo dobrze! *benissimo!* Co do mnie, zawszem miał w śmiertelnem obrzydzeniu teorią materializmu, ta więc pierwsza śmierć cicha, jak ją zowiecie naturalna, co mię bez bolu osłoniła jakąś spokojną szatą ciemności, zastała mię najsystematyczniej przygotowanym do dalszych faz bytu, jakkolwiek dziwne i nadspodziane mogły mi się one przydarzyć.

W tej wszakże chwili musiała zająć jakąś przerwę w działalności mojego ducha. — Tyłko-ż to znowu niepodobna! podług mojej teorii, w żaden sposób niepodobna! — Przypuścić więc raczej należy, że moje ontologiczne władze musiały sobie zostawać przez czas niejaki w spoczynku i zawieszeniu — podobnie jak podczas snu spokojnego, choć duch nie przestaje czuwać i być czynnym, biedna pamięć nie zdoła zatrzymać żadnych z tej doby danych. Stan mój nie był jednak tym snem zupełnie wolnym od bezładnej gry marzeń: owszem miałem je, wprawdzie niejasne, ale tak dolegliwe tak męczeńskie, jak gdyby były wypisane ognistymi charakterami na moim mózgu. Prędzej więc być może, żem przez cały ten czas znajdował się w śmiertelnym odrętwieniu (*tetanos*), wśród którego budziłem się chwilami i wnet zasypiałem, nie zdołając przyjść do samopoznania.

Zdało mi się, naprzykład, żem był rzucony do głębokiej bieżącej wody. I chłód nadzwyczajny tej nagłej kąpieli niby mię na chwilę ocucił. Otworzyłem więc jeszcze oczy, ale tysiączne potwory otaczały mię do koła: roje ich

nacieraly wprost na moje oczy, a inne szczypały mię i targały z każdej strony. Doznawałem mąk niesłychanych, we wszystkich stopniowaniach boleści. To lekkie raz po raz powtarzane uszeknięcia, to ukąszenia ostrych jak igły i niepoliczonemi rzędami przejmujących zębów, to cięcia niby nożycami powoli zagłębiające się w ciało, to jakieś wpijające się ssania, najboleśniejsze może, bo coraz czulszych sięgające włókien i dostające zda się do samego serca.

Śród tych katuszy, znowu mię ogarnął dobroczynny *tetanos*.

Potem, zdało mi się, żem był wydobyty z wody. I wnet mię opuściły poczwary i męczarnie podwodne, a ziemskie światło i powietrze słodko mię orzeźwiły. Nie mogłem wprawdzie dać żadnego znaku życia, lecz czułem przecież ten ożywiający, tak mi znajomy wpływ światła i powietrza, i nie doznawałem przy najmniej żadnej boleści.

O jakżebym rad był, po tylu mękach, przetrwać wieki w tem bezwładnem istnieniu! Bo któryż chory lub nieszczęśliwy, nawet z liczby tych małodusznych, co lękają się śmierci,

nie układł-by się najchętniej na sen nawet stoletni!

Ale miara mych cierpień daleką była jeszcze od spełnienia.

Ledwie jakich chwil kilka wypoczął, uczułem nagle i nie do opisania gwałtowne w całym ciele wstrząśnienie. Tylko głęboki cios zadany żelazem, zblizka otrzymany wystrzał, lub wskrzeszający pół martwych prąd galwaniczny, mogły spowodować podobną boleść i wstrząśnienie! Lecz nie do namysłu mi było o przyczynach tej męczarni, bo wnet powtórzyły się one, nie wiem już w jakiej liczbie. Czulem tylko, że co chwila przybywa mi straszliwa rana, a do niej wpada natychmiast ogień, i trawi ją, i szuka sobie drogi do sąsiednich płomieni. Wkrótce płonąłem cały, ale tak, że czułem jak mię pożerał ogień, że widział jak mi skry leciały z oczu: nakoniec z okropnym trzaskiem przepęła przecież, i rozpadła się na kilka części ma głowa. I zrobiło się mi lekko — bo znowu ośwładnął mną błągi *tetanos*.

Tą razą obudziłem się zupełnie — rzeźkim i silnym, jak nigdy. Lecz dolegał mi głód tak

dawny i tak potężny, że lubom od orlich jeszcze czasów przestał być mięsożernym, z niepojętą jednak chciwością targałem i pochłaniałem jakąś biedną, chudą straszliwie, widocznie głodem zamorzoną szkapę. Było to w czystym polu. Słyszałem gdzieś w oddaleniu wycia psów żałośnie, przeciągłe, pełne gniewu i przestachu — a kilku kruków, w przyzwrotnym oddaleniu, przypatrywało się z zazdrością mej uczcie.

W rzeczy samej, było też czemu przypatrzyć się i pozazdrościć! Całą niemal godzinę nie folgowałem sobie w pracy, a jeszcze ani mi się zamarzyło o żadnym z tysiąca znanych mi aforyzmów o wstrzemięźliwości. Miałem tylko myśl jedną, grubą, empiryczną o niepewnym jutrze: i ona to mię czyniła tak żarłocznym. Gdy jednak niestety, nie można jeść i jeść bez końca — jak z uczuciem mawiał niegdyś Lukullus — musiałem kiedyż - tedyż poprzestać.

Lecz w drodze ku lasowi, dokąd mię ciągnął jakiś ojczysty instynkt, nie umiałem sobie doradzić od pragnienia, które zaczęło mię nagle trapić i wzmagalo się coraz gwałtowniej.

Chwytałem śnieg, tarzałem się w śniegu, zakopywałem się w nim cały dla ochłody, i wszystko to nie przynosiło mi żadnej ulgi: owszem zdałoby się że pragnienie piekło mię tem silniej, im więcej czyniłem dla jego uśmierzania. Wnet zatem przybyły i zaczęły mię dręczyć kurcze i boleści wewnętrzne, tak nieznośne, że nie mógł w sobie dłużej potłumić głosu.

Lecz o dziwo! zawyłem tak okropnie, tak okropnie, że z przerażenia, na sążeń wysoko czyłem z hurby, i kopnąłem ze wszystkich sił, nie patrząc drogi.

Bieg i znużenie wzmogły jeszcze ogień wewnątrz mię trawiący. Krew z szumem biła mi do głowy, do oczu, a straszna spieka rozpierała mi płuca, duszność tamowała oddech: choć czułem w sobie taką jakąś niezwykłą siłę i śmiałość, że rzuciłbym się w tej chwili na tysiące bagnetów, byleby choć kroplą krwi żywej odwilżyć me czeluści. Bo śnieg mię nie ożywiał, od wody miałem taki jakiś wstręt śmiertelny, że drżałem na samą myśl o niej: krwi mi więc potrzeba było, gwałtem krwi żywej!

Lecz z kąd, i jak-że było jej dostać w tem głuchem polu? — Przyszło mi na myśl, że byłoby najbliżej i najrozumniej, jeźlibym jej utoczył z własnego serca. Tam czułem naj-sroższy płomień, jak w samym ognisku: a więc podwójna korzyść — myślałem sobie — bo i zaspokoję pragnienie, i ugaszę zarazem ten pożar wnętrzości!

Rozumowanie było — jak widzicie — cale logiczne: coż jednak, kiedy dość częstą w logice igraszką, niepodobne do zastosowania! — Kręciłem się sownie, jak derwisz natchniony, kręciłem się po kilkakrotnie, i tylko nadwichnąłem sobie szyi, w żaden zaś sposób nie mogłem się schwytać za bok nawet, nie dopiero-ż za serce!

Więc gniewny, szarpany boleścią, z rozpaczony, wściekły, pobiegłem na oślep, ale w prostym raz obranym kierunku.

I oto, po niejakiem czasie, słyszę z zadumieniem i widzę z radością, że śmie mię oszczekiwać jakąś biedna psina! — Rzuciłem się, porwałem ją, i rozerwałem w szmaty: lecz w tem coś mię na skróś przeszywa, obala i ogłusza jak grzmotem. Przerażony tym nie-

spodzianym ciosem, zataczam do koła oczy, i widzę o kilka kroków pod drzewem stojącego człowieka. Na ten widok sił mi przybywa. Jednym prawie susem dosięgam go, chwytam za rękę, i gdy ją chcę zgruchotać — oczy mi zaszyły mrokiem, myśli stanęły.

18.

I ujrzałem z przerażeniem, rozciągniętego u nóg mych ugromnego wilka. O kilka kroków leżał nieżywy, poszarpany mój wierny Odon. Strzelba drżała mi w ręku, serce biło gwałtownie, z okaleczonej ręki krew obficie płynęła: lecz anim pomyślił o jej tamowaniu, anim czuł boleści, ani nawet zdołałem zebrać się na myśl dziękczynną dla Twórcy, który mię raczył ocalić od oczywistej śmierci! Wszystkie uczucia i wszystkie władze umysłu pochłaniało mi to pełne rozpaczony przekonanie: żem pokąsany od wściekłego zwierza i że chwila mej strasznej śmierci została tylko oddaloną.

Sto miłych obrazów życia natychmiast uobecniło się przedemną, a każdy z nich tysiącem udręczeń cierniował mi serce. Nadeszły potem łzy i skargi na Boga — oby mi one zostały zapomniane! — nakoniec słabo, nieśmiało ozwała się nadzieja: że może też raczy mię on jeszcze jakim cudem ocalić; bo przykłady podobnie ocalonych zdarzały się nieraz: wreszcie może to zwierz nie wściekły przejął mi na skroś rękę, ale tylko rozszożony zadana mu śmiertelną raną.

I z tą ostatnią nadzieją rzuciłem się na kolana, modląc się tak gorąco, jak pragnąłem jej rzeczywistości. Potem nieco spokojniejszy, omyłem mą ranę śniegiem, posypałem prochem, dozwoliłem przez czas niejaki krwi upłynąć, i obwiązawszy starannie miejsce skaleczone, postanowiłem prócz lekarza, zamileżeć o mym przypadku przed wszystkimi — nawet przed matką.

Zastałem ją nad bibliją, tak jakem zostawił przed godziną: lecz miała łzy na oczach.

— Jużś wrócił? — rzekła mi ocierając łzy z pośpiechem. — I po co, po co było wychodzić! Tak dziś okropnie zimno! Zmień zaraz, proszę cię, moje dziecię, to przemrożone odzienie!

— Dziękuję, kochana matko! nie przeziębłem. Nawet mi gorąco. Ale na co tak długo czytasz, kochana matko! Wszak ten blask od śniegu, jak mówisz sama, tak ci szkodzi na oczy.

— Zaczytałam się i nie mogę się oderwać. Och! jakabo to wielka i święta prawda, moje dziecię, że nie ma żadnego takiego smutku i ucisku serca, którego-by Bóg nie opatrzył, na które-by nie obmyślił pociechy w tej swojej najświętszej księdze!

— O czem-że czytasz teraz? kochana matko!

— Ach! o tej biednej wdowie, moje kochanie, której Bóg z nieskończonej litości raczył wskrzesić syna, przez proroka Elizeusza*). Jak-że mi więc nie mieć nadziei, że i mój biedny Leon jeszcze mi wróci, że go czy z niemocy czy z niewoli wymodlą łzy, jeżeli nie moje grzeszne, to tej cnotliwej i dobrej jak anioł Natalji. Powiedz mi, moje dziecię, jakie też twoje przeczucie o tym portreciku

*) Księga 4. królów rozdział 4.

tak cudownie nam wczoraj przyniesionym przez Marcellego? Twoje młode serce godniejszem jest może łaski Boga, i głosu jego świętego natchnienia.

— Ja myślę, kochana matko — rzekłem chwiejąc się między obawą zasmucenia jej, i jakimś jakby mi nagle zjawionem widzeniem ostatnich chwil Leona — myślę, że jak cokolwiek uspokoją się te wojenne czasy, co nam niedozwalają odbierać listów, nawet od ojca i Pauliny... to dojdą nas zaraz pewniejsze wieści o Leonie.

— I jam sobie nieraz o tem myślała — odrzekła matka, zdziwiona nieco tą moją delicką odpowiedzią. — Mam nawet jeszcze nadzieję, że jeżeli on w niewoli, to może zgłosił się przez kogokolwiek do Pauliny, niechcąc zasmucać Natalji, i nie śmiejąc biedny odezwać się ani do ojca, ani do mnie: chociaż jużesmy dawno wszystko mu z serca przebaczyli. Ale ja cię zapytuję moje dziecię, jak tobie o tem mówi serce, przecucie?

— Zda mi się, mamó, że nikt prócz Leona, nie zdołał-by tak starannie i przemyślnie ukryć tej sylwetki. Nie mógł więc on zgi-

nać na wojnie, ale dostał się zapewne w niewolę.

To mówiąc płoniłem się, bo zdało mi się żem kłamał.

— Znowu mi odpowiadasz, mój synu, z rozumu: a jam zapytywała u twojego serca! Otoż co to znaczy gdy dwaj bracia tak jak nieznają się z sobą! A jednak Leon, gdy był w twych latach Stasiu, nigdy tak zimno nie rozprawił z matką, jeżeli go ona o cokolwiek zapytywała ze łzami na oczach! Odpowiadał on natychmiast i bez namysłu, bo z serca!

— Albo-ż nieszczęściem zasługuję na jaki zarzut? — rzekłem tknięty temi słowami.

— Ach! nie! moje dziecię! nie jestem niesprawiedliwą. Nieraz mię podnosiły w dumę pochwały jeszcze w dzieciństwie oddawane twojemu przedwczesnemu rozumowi. Ale możesz-że mieć mi za złe, że odnawiam sobie w duszy, może już tylko wskrzeszam — przydała głosem zachwianym — obraz Leona, który od dzieciństwa zgadywał sercem wszystkie moje myśli. Tyś się urodził moje dziecię, mogę-ż cię o to obwiniać? podobniejszym do ojca. Więcej skryty, zawarty w sobie, tyś mi, dzie-

ekiem nawet ani skargami i kwileniem się nie uprzykrzył, ani-ś mię ciągnął do dzielenia swych zabaw. Przyjść na świat mężczyzną, alboż to zarzut? mój synu!

To mówiąc, wzięła mię ona w objęcia, i tuląc do siebie przypadkiem ścisnęła mą rękę, właśnie na samej ranie.

Mimowolnie krzyknąłem.

— Coż ci to? moje dziecię! — zawołała przestraszona.

— Nic ważnego! kochana matko! W lesie gdym się przebierał przez kłodę, a za mną nieodstępny Odon, upłatał się on jakoś biedny w mą strzelbę: ta wypaliła i położyła go na miejscu. Przypadek ten zmięszal mię trochę: skoczyłem nagle, i zadrasnąłem sobie rękę, lekko ale dolegliwie.

Chociaż kłamałem w najpiękniejszym może celu, sama wszakże łatwość z jaką mi szły słowa, zda się że większym jeszcze przejmowała mię wstydem. A matka jakby na domiar mojego upokorzenia, rozdzierając z pośpiechem rękaw mej sukni, mówiła:

— Albo-ż nie prawda, nie moja nieszczęśliwa prawda żeś nie stworzony do powierzeń,

nawet matce! Powiedz ty mi Stasiu! ty widzę masz sobie za wstyd, za słabość, za występek zapłakać przedemną! Ale przed kim-że po Bogu?... Ach! mój Jezu! jaka rana! i cała czarna! O moje dziecię! tyś ją sobie przestrelił!

— Nie, nie! jak cię kocham, moja Mamo! Dla utamowania krwi posypałem prochem miejsce zadrasnięte: ale to tylko proste zadrasnięcie i nic więcej. Wszakże bym nie mógł ani poruszyć przestrzeloną ręką, a to patrz kochana matko, jak nią wywijam!

— To niech-że natychmiast poszłą po doktora. Zadzwoń moje dziecię! Ach! nie! nie trudź sobie ręki. Ja sama....

— Dla twojej spokojności, kochana Mamo! — rzekłem biegnąc do dzwonka — pojedę do niego sam zaraz, i to konno. To będzie daleko prędzej i najpewniej. Bo jak drogi są teraz utrudnione, to łatwo stać-by się mogło, że zajęto by nam tylko konie, i nie doczekalibyśmy się prędko, nie tylko doktora, ale nawet naszego posłańca.

— Tak, to prawda. Ale-ż ty możesz sobie przeziębic rękę i narazić się jeszcze na

jaki przypadek. Nie, nie chcę, nie zezwolę na to.

— Bądź spokojną, kochana Mamo! Ubiorę się ciepło, pobiegnę polami, i za godzinę najdalej wrócę.

To mówiąc ucałowałem jej rękę: a ona mię ze łzami kilkakrotnie przeżegnała, to wstrzymując, to zalecając potrzebę pośpiechu.

19.

Powiedz mi Marcelli! — rzekłem ubierając się do drogi — coście wy wczoraj zrobili z tym koniem?

— A coż, Pani Leonowa koniecznie prosiła, żeby go tak nie zostawiać, ale przynajmniej wrzucić do rzeki: to nie było co; trzeba go było zawlec do rzeki. Aż potem, jakś panicz mi kazał położyć przynętę na wilka, a nie znalazło się nic lepszego na podorędziu, tośmy go wyciągnęli z wody, posolili nie żałując trutki, i wilk był w odwiedzinach, musi być tak nad samym ran-kiem: bo chodzę i oglądałem, jeszcze cie-

plutkie tropy! Choć zawieja miotła do trzeciej z północy.

— Zrobiliście najgłupiej!

— He! A to czemu? proszę panicza!

— Temu, że niech was djabli wezmą!

— Djabli, czy nie djabli? wezmą, czy nie wezmą? a co wilka, to choć-by on nawet był najstarszym z wilkołaków, djabli już może i wzięli: bo gołębek kiereszował widać sobie porządnie. Ale coby to się znaczyło, że Odon z paniczem nie wrócił?

Nie odpowiedziałem nic na to staremu pijakowi — i skoczyłem na koń.

Dumając wszakże w drodze nad mym przypadkiem, wyciągnąłem sobie ze słów Marcellego tę pociechę: że wilk co mię pokąsał, nie był szalony, ale tylko rozjadły zadaną mu gwałtowną trucizną.

I lekarz bądź w rzeczy samej podzielał to moje przekonanie, bądź że mię chciał uspokoić, cały ten przypadek przypisał też truciznie. Naprzytycazał mi on natychmiast, z własnego doświadczenia i z księzek, mnóstwo podobnych przykładów, dowiódł najuczucniej: że nawet dopuszczając prawdziwą wściekliznę w tym

otrutym wilku, to i tak byłaby ona dnia pierwszego w stopniu nader słabym i prawie nie udzielającym się jeszcze: nadto, przypuściwszy nawet, że byłaby już rozwiniętą należycie i dojrzałą, to i w tym razie rozbroiła się ona zupełnie na moim wyśle, więc już była bezsilną na mnie: co dotyka niezawodną jest rzeczą, że on sam (to jest lekarz) wystawił-by się bez najmniejszej obawy, choćby w tym momencie, na powtórne ukąszenie wściekłego zwierza: wreszcie przykładając na skorym razie śnieg do rany i osypując ją prochem, postąpiłem tak trafnie i tak rozsądnie, że na mojem miejscu najlepszy lekarz nie doradziłby i nie uczynił nic innego *lege artis*: na ostatek krótko mówiąc, nie należy zapominać że to jest tylko szczerzy przesąd i aż nadto zwyczajna dla sztuki medycznej niewdzięczność, kiedy cię utrzymuje że niema ona sposobów do ratowania od wścieklizny: bo szukając niedaleko, ot np. przeszłego roku, w tutejszej parafji, z sześciu osób pokąsanych od psa szalonego, cztery tylko umarło: ale ludzie są i byli takimi od początku świata, że wracają do zdrowia z łaski przyrodzenia, a umierają

zawsze z łaski lekarzy; jednym słowem, jak jest dziś poniedziałek, tak powinienem być najspokojniejszym i nie myśleć o żadnem niebezpieczeństwie! Gdy jednak lepiej jest dopuścić się zbytku w sposobach ostrożności, coż szkodzi pocierpieć trochę, i pojątrzyć ranę różnemi niewinniuchnymi środkami?

Zatem całując mię w głowę i oświadczając najgłębsze uszanowanie mamie, poradnik mój upewnił mię po kilka razy: że i bez mojej prośby, zachował-by ścisłą tajemnicę o całej tej rzeczy.

— Jest to taka drobnostka, wierzaj mi Panie Stanisławie! — przydał na pożegnaniu — że w dzisiejszych arcy-historycznych czasach, powinniśmy mieć sobie za punkt honoru, puścić ją w niepamięć. Jakie czasy, jakie czasy! Panie dobrodzieju! Słyszeliście państwo zapewne, kto onegdaj przejechał tędy pocichutku i tylko samotrzeć?... A jaka ma być dezorganizacya, jaka demoralizacya w wojsku! Nie chciałem z razu słuchać nawet, nie dopiero wierzyć temu, co mi mówili żydzi: aż wczoraj otrzymałem przez nich list od mojego brata, kanonika w T. wystawić sobie nie po-

dobna nie równego! Po formie ucieczka, i jaka-ż jeszcze barbarzyńska! W T. spalili kościół, jedynie dla ogrzania rąk, bo nawet się nie zatrzymywali! I to się działo pod okiem samego Cesarza. Brat mój kanonik, umiejący bardzo dobrze po łacinie, ośmielił się podejść do Cesarza i przekładał mu tę świętokradzką i niepożyteczną pożogę. — *Bellum est!**) odpowiedział marszcząc brwi Napoleon, w swoim strasznym lakonizmie. — A jam na to sobie pomyślał — brat mi pisze: *Fuga est et digitus Dei!***)

— Cóżkolwiek bądź, żal mi cię kochany Panie Stanisławie, Nemrodzie nasz, Tezeuszu i Herkulesie, że przez zbieg interessów, chce mówić, przez obowiązek synowski, musisz heroicznie wyrzec się Nemejskiej sławy wybawiciela naszej okolicy!

Dar pięknego słowa, przy lekkim odcieniu terminów greckich i cytat klasycznych, cóżkolwiek by mówiono, a jest to wielki i nie-

*) «Wojna!» Historyczne. Było to w Tołoczynie.

**) «Ucieczka to i palec boży!»

uchronnie potrzebny przymiot w lekarzu! Bo do świata, który chce być mamionym i niech będzie! należą niewątpliwie i *per excellentiam* wszyscy bez wyjątku chorzy.

Jakoż dzięki mytologicznym pociechom szanownego doktora i siedmnastu moim latom, wracałem do domu nie tylko doskonale spokojnym, ale nawet w rzeczy samej nieco zasmuconym, że nie będę mógł pochwalić się przed nikim, z mojego świetnego strzału: o kilkadziesiąt kroków, kulą Panie! i to z lewej lufy!

W pokoju matki, do której, ledwie zsiadł z konia, wołało mię kilku gońców, zastałem niespodzianie Nataliją. Do pytań matki o wszystkim com mówił lekarzowi i co mi on mówił nawzajem, Natalija dodała tą razą kilka słów pełnych tak szczerego udziału i troskliwości o moje zdrowie, że mimowolnie uczułem się pomieszany. Gdyż dotąd byliśmy z nią jak nieznanymi. Winienem to objaśnić.

Moja matka była już po raz drugi zamężną. Leon i Paulina byli jej dziećmi z pierwszego małżeństwa, a jam jedynakiem ślubów powtórných. Leon znacznie odemnie starszy,

tem czulej kochany od matki, że zbyt rzadko i zawsze niechętnie był widywanym od mojego ojca, przebywał zwykle w majątku dożywotnie należącym do matki, w tym właśnie, gdzieśmy teraz mieszkali. Na domiar zniechęcenia, Leon bez wiedzy rodziców ożenił się w tem swoim wygnaniu, z biedną sierotą Nataliją. Od tej chwili zostały zerwane wszystkie niemal stosunki między nim i rodzicami. Matka lubo wnet w sercu do przebaczenia mu była usposobioną, rozżalona jednak tem od niej nawet utajonem małżeństwem, i zwyczajem kobiet biorąca gniew męża za słusność, a więc zhołdowana całkiem na jego stronę, dozwoliła wymódz na sobie, że odtąd przestanie widywać Leona i usunie go od zarządu majątkiem. Tak się stało. W kilka tygodni po ślubie Leona z Nataliją, wypowiedziano im w imieniu rodziców wszelkie pomoce, za cały przytułek zostawiono tylko mały pokoik, i wydzielono skąpe, ledwie do życia wystarczające utrzymanie. Było to właśnie w tym czasie, gdy musieli oni ciężko pracować dla opędzenia swych potrzeb, gdy cała ich posługa ograniczała się tylko przywiązaną z duszy do Natalji dzie-

wczynką, i trzykroć uproszonym każdem poruszeniem Pana Marcellego, gdy dobra Paulina kryjomo jak Anioł zjawiała się do nich z pociechą, gdy nakoniec całym ich zbytkiem byłem ja — skowronek. W tem nadeszła wojna. Podała ona Leonowi najpewniejszy sposób do zmiększenia rodziców, i jał się on go za zgodą żony. Napisał list do rodziców o przebaczenie, i błogosławieństwo w zawodzie, w którym spodziewał się położyć albo życie, albo jakąkolwiek zastęgę, cohy go postawiła w możności opatrzenia losu Natalji: a tymczasem, po Bogu polecał ją opiece rodziców. List ten obłany łzami matki, i w milezeniu oddany przez nią ojcu, trafił wprost do jego twardego, pełnego wszakże szlachetności serca.

— Pożno, ale pięknie! — rzekł on po przeczytaniu, i zaczął szybko chodzić po pokoju: co było w nim zawsze znakiem głębokiego wzruszenia. Po niejakiem czasie, stanął przed matką, i prosił ją łagodnie aby się uspokoiła: potem uśmiechając się, zapewne z myśli, która mu przyszła, przydał: — Będiesz-że tak zatwardziała, moja duszko! abys im nie odpuściła? Ja cię o to proszę, proszę z całego serca. Zrób mi tę łaskę!

— Ach! ty im przebaczasz, ty mię nie probujesz, nie żartujesz kochanku! O niech ci to Bóg nagrodi! Dozwól-że mi, nie broń ucałować swe ręce, nogi! — I z taką ożywioną, uszczęśliwioną twarzą, jakem jej nigdy jeszcze nie widział, matka gotową była rzucić się do nóg mojemu ojcu.

Ale on ją zatrzymał. I kończąc również szlachetnie, jak zaczął, mówił z miłym uśmiechem: — Wprawdzie smutno mi będzie staremu sierocie, coż jednak robić; ta biedna kobieta, w terażniejszych zwłaszcza okolicznościach, koniecznie potrzebuje twojej obecności. Sprowadzilibyśmy ją tutaj, ale wiem że przykro-by jej było patrzeć na starego okrutnika, który aż wtedy dopiero namyślił się nazwać ją córką, gdy umyła się męża! A może i ja nie prędkobym się oswoił patrzeć spokojnie w jej zapłakane oczy. Lepiej więc, pojedź ty do niej duszko! i cieszcie tam siebie, szlochając, jak to u was inaczej już być nie może. Dla rozrywki weź z sobą i Stasia. Będzie on dla was, zamiast załogi od maroderów. A ja tu już zostanę, jak Bóg da, z moją kochaną Pauliną. Będziemy tam do was pisywali.

Na tem stało. Tegoż dnia jeszcze wyjechaliśmy z matką. Pokochała ona Nataliją z całej duszy, od pierwszych słów, od pierwszych lez o jej drogim Leonie. Wzajemne to przywiązanie z każdym dniem wzrastało, i moja matka błogosławiła codziennie niebo, za swoją anielską synowę.

Co do mnie, dziecinny, pieszczony, i rad z mej nieograniczonej swobody, po całych dniach snułem się po polach, to ze strzelbą to z chartami, tak że niewiem czy dotąd stało mi czasu i ochoty, choć na słów kilka rozmowy, z mą nieszczęśliwą, wiecznie smutną bratową.

20.

Sam więc niewiem, czemu dobroć Natalji okazana mi teraz w kilku stosownych do obecnej chwili pytaniach, przeniknęła mię jakoś na skroś. Rzecz dziwna! Moja najlepsza matka z taką skwapliwością i uczuciem wchodziła we wszystkie szczegóły mojego opowiadania, że zda się oczyma i sercem chciała-by być w mej ranie: Natalija powiedziała mi tylko kilka słów przychylnych, ze zwyczajnym wyrazem głębokiego smutku w twarzy i oczach, kilka te słów mogły w niej nazwać się niejako wywalczonymi na własnej boleści, podobniejsze były one może do jednej z tych pociech, na jakie się

zdobywa obłożnie chora matka dla dzieciny igrającej przy jej łożu, gdy ta upadnie i zadraśnie się przypadkiem: ztem wszystkim, powtarzam, sam nie wiem czemu te pospolite zkadinał słowa z ust Natalji daleko słodszej i milej mi brzmiały, i głębiej wnikały do mojego serca, niż najczulsze wyrazy tak mię kochającej matki? Przed tą ostatnią uitałem prawdziwą przyczynę mojego przypadku, i nic to mię nie kosztowało: owszem zdało mi się że było mym obowiązkiem zostawić ją w niewiadomości; lecz zmyślać przed Nataliją, tegom wstydzil się w tej chwili jak występku: bo czułem odzywając się w sobie taką jakąś chęć szczerą, taką potrzebę powierzenia się jej we wszystkim, jak gdyby mi miało przybyć świata, życia i nadziei, jeźliby ona wiedziała o wszystkich mych myślach, i przestała mię nakoniec uważać dziecięciem! Uczucie to było niewinnem, a jednak czemuż tłoczyło mą duszę ciężkim zarzutem: że nad matkę tak dobrą i wylaną mi całym sercem, pragnąłem przenieść osobę ledwie mi znaną, i jużem tak łatwo był gotów do nieograniczonej ku niej ufności? Dziwny, nagły i niepojęty pociąg! Nie mogłem ani oprzeć się

jego władzy, ani zdać sobie sprawy jak on mną owładnął? Czułem tylko, że mię on obużał jakby jakimś urokiem, i to od jednej chwili.

Bądź to był skutek tej nieuchronnej w całym świecie, i najczytelniej w każdym człowieku odbijającej się dwoistości, którą filozofja tak czarno-księżko zdołała dostrzedz i odsłonić na wszystkich szczeblach stworzenia, bądź Pan Stanisław, z którym dostał mi się niespodziany zaszczyt dzielenia tej dwoistości, składał w tej chwili powłokę starego człowieka a stawał się nowym człowiekiem, to jest wychodził właśnie z epoki dzieciństwa, coźkolwiek bądź, zawszem był świadkiem i uczestnikiem nieznanego mi dotąd zupełnie, nader zajmującego zjawiska w sferze myślenia i uczucia. Oba doznaliśmy spólcześnie jakiejś wewnętrznej odmiany, jakiegoś przełomu w pojęciach. Zaczęliśmy na wiele rzeczy patrzeć zupełnie innemi oczyma, myśleć jakby nowym językiem. Świat miał nas teraz daleko wyrozumialszymi, pobłażliwsiymi, słodszyymi: radzihyśmy byli objąć go, znaleźć mu towarzysza i uszczęśliwić: tak on nam wydał się nagle pięknym, tak godnym

przyjaźni! — Och! bo nad przyjaźń, nad tę zgodność dusz, serc, słów, spojrzeń — nic miłszego nie może być na świecie! — myśliliśmy sobie z Panem Stanisławem. A jeżeli już w samej tęsknocie do tego nieznajomego dobra tyle zawiera się szczęścia, to ile-ż go być musi w rzeczywistości!

Żeśmy tak oba sądzili przez przypuszczenia, i łącznymi siłami nie zdołali zdać w sobie sprawy z naszego przecucia, było to bardzo naturalnie. Bo co do mnie, daje się sobie przypomnieć, że pochodziłem z planety tak doskonale filozoficznego, jak owa opisana przez Swifta latająca wyspa matematyczna. Do tego, nie prosty jakikolwiek mieszkaniec tej transcendentalnej krainy, ale uwięziony doktor filozofji, nie mogłem zaiste i nie powinienem był z powołania kochać nic więcej, prócz prawdy i ludzkości, to jest: prócz samego siebie. Co się tyczy Pana Stanisława, dotąd był on dziećciem, to jest też filozofem-samolubem, tem większym może, że go otaczało tyle starań i pieczęci. Bo ta święta miłość synowska, co tyle wróży szczęścia, pociech, tyle słodkich łez wyciska biednym rodzicom, patrzcie tylko na

nią, gdy w czemkolwiek nie stanie się zadość jej zachceniom: jak się usuwa na stronę gniewna i sycząca! Tylko-ż przez litość nie powtarzajcie jej słów, nie podsłuchujcie nawet myśli.

Słowem, oba z Panem Stanisławem w naszej jednej zbiorowej osobie, nie mogliśmy mieć dotąd ani wyobrażenia o miłości. Zestosowawszy nawet wszystko, czem się teraz sprostowały i wzbogaciły nasze wiadomości, okazało się żeśmy całę niedaleko odeszli od tej szczęśliwej epoki, gdy jednemu z nas Natalija w najlepszej wierze wydała się ptaszyną.

Lecz oto nastąpiła chwila nieznanego dotąd nam obu przebudzenia, i ujrzelśmy przed sobą świat nowy, jakiś świat złoty, promienny, uśmiechający się nadzieją, pełen dziwów, tajemnic, łez, tęsknoty, boleści, i najroskoszniejszych wstrząśnień serca. Całych lat życie było-by za mało, dla wypowiedzenia wrażeń i uczuć, myśli i marzeń, które w natłoku cisnęły się teraz do duszy i wrzały w niej pomięszane. Był to stan jakiś błogiej wiary we wszystko nadzwyczajne, potrzeby oglądania cudów, i najszczerzego przekonania o ich przy-

tomności do koła. Wspomnienia z dwóch różnych dalekich bytów, które w tej chwili w nas się połączyły, nie tylko że nie roztraçały się o siebie, lecz nawet nie zdały się nam obce. Zwały się one w jedno tak zgodnie, harmonijnie, i obyły się z sobą podobnie, jak senne naprzykład widzenia z rzeczywistością, albo jak myśli, pamiątki i przeczucia z brzasku dzieciństwa, żyją i dochowują się wśród dalszych wypadków życia. Sam obraz Natalji, lubo jednemu z nas oddawna już znany, nie wydał się nam przecież dla tego niedocieczoną psychologiczną zagadką. Coż? to miłe, drogie, z taką potęgą zniewalające ku sobie oblicze, myśmy zapewne oglądali... o tak! niewątpliwie oglądaliśmy kiedyś w innym świecie, i weszliśmy z niem nawet w przymierze, i ślubowaliśmy już raz sobie na wieczny związek. Potem losy nas z sobą rozdzieliły: więc zapomnieliśmy na czas o sobie, i choć spotkaliśmy się oko w oko, długo nie mogliśmy przejrzeć i poznać siebie: bo jedno z nas nie było wolnem! Ale zaledwie upłynął zakres tej czasowej rozłąki, oto znowu tłumem zaczynają się budzić dawne wspomnienia, wprawdzie je-

szcze niepewne, lęklive: bo któż wie czy ona?... Ach! to jasno, tak jasno, że po cóż się wahać i zwlekać! pójdę wypowiem jej wszystko!

W skromnym pokoiku, którego drzwi w tej chwili otwierałem nie bez trwogi, wszystko się miało tak samo, jakem zeń kiedyś wyleciał skowronkiem. Każdy szczegół był mi tu, zda się, znajomy. A przecież nie zdumiałem się nawet na widok tej dziwnej tosamości miejsca. Miałem na pogotowiu podobne przyczyny do tych, co mi objaśniały w sposób tak zaspakajający mą podwójną znajomość z Nataliją: jedną niedawną, a drugą jakby z innego świata przyniesioną. Otwierałem te drzwi po raz pierwszy, a jednak niewątpliwie jużem tu był, i nieraz: choć jak? i kiedy? nie umiałem sobie

przypomnieć. — Musi to być ze mną — myśliłem sobie — coś podobnego do tych cudów jasnowidzenia, o których słyszałem nieraz, gdy wzroku duszy nie tamują żadne granice, i gdy mu również jest snadnie widzieć rzeczy i miejsca blizkie i znajome, jak i najdalsze, nieznanne przedtem ani z imienia. Wprawdzie ujęci magnetycznem uspieniem nie zachowują żadnych podobno wspomnień po obudzeniu, ale ze mną oczywiście musi w tem być jakiś wyjątek: bo choć niewyraźne, jakby mgłą osute, mam wszakże dotąd przytomne różne takie wypadki, które nie dadzą się objaśnić niczem, prócz jasnowidzenia. Tak naprzykład, zda mi się, że m patrzył na całą terażniejszą wojnę, że m był przy ostatnich chwilach Leona, że m latał pod obłokami, że m był nawet na jakimś innym cale odmiennym od naszego świecie, gdzie zgoła nie ma kobiet, nawet tak już niemłodych jak mama, a cóż dopiero takich jak ta nieporównana Natalija! — Biedny świat głuchy i smutny! — a jednak bywają chwile, że tęskni mi się do niego jak do ojczyzny! I czegoż to jeszcze i jeszcze nie uprzytomnia mi czasem moja pamięć! — Cóż więc dziwnego

że i ten mały pokoik, i wszystkie jego sprzęty, i sam nawet sposób w jaki tu pada na każdą rzecz światło, najdoskonalej zdają się mi znajome? W tym samym pokoiku musiałem zapewne widywać Nataliją w moich duchowych wędrówkach: więc mi go pamięć przedstawia jak ramy obrazu, jak zwykle szaty lubej osoby. Ale wkrótce muszą się mi rozjaśnić te wątpliwości. Bo wyznam jej wszystko, otworzę całą mą duszę: i jeśli mię ona pozna, wysłucha, to mi dopowie drugą niedostającą połowę mych wspomnień! — Lecz czemuż serce tak mi drży z obawy? Od czegoż zacznę? A jeśli mię ona nazwie dzieckiem, i przyjmie uśmiechem? Albo okaże litość tylko, jak nad obłąkanym?

Na szczęście, Natalija oparta nad biurkiem, tak głęboko była zajęta czytaniem jakichś listów, że nie dostrzegła mojego cichego wejścia. Swobodnie więc mogłem przez czas niejaki oddać się tym dziwnym myślom i wspomnieniom. Porównywając je z miejscowością, jużem był nawet blizki może ich źródła: już zdało mi się, że widzę przed sobą przewodniczą nic spojni wyobrażeń i wnet ją po-

chwycę, gdy nagle Natalija zapłakała głośno mimowolnie.

— Co ci jest? kochana sestro! — zapytałem skwapliwie i nie myśląc już o niczem: bo płacz Natalji, rzecz dziwna, wydał się mi jakby moją własną boleścią.

— Ach! ty tu, bracie! — zawołała nieco zatrwożona — myślałam żem sama. Przepraszam cię. Ach! to zapewne musiała aż posłyszeć mama, i przysłała cię do mnie. Jak-że żałuję, żem ją nabawiła niespokojności. Bądź tak dobry, kochany bracie, nie mów jej o niczem. Powiedz żeś mię zastał spokojną, i że to ją doszedł inny jakiś zgiełk domowy.

— Nie jestem tu przysłany — odpowiedziałem zasmucony, że Natalija nie mogła nawet mieć myśli, aby mię łzy jej obchodziły — ośmieliłem się wejść tu, bardzo niewczesnie, to prawda: ale nie mógłbym już dłużej mieć na sercu, że od czasu jak mieszkamy razem, nigdy nie odwiedziłem cię, kochana sestro!

Słowa powodowały się mi tak nieśmiało, niesadnie, jak gdyby mi brakło oddechu.

Dobra Natalija pośpieszyła oszczędzić mi tego przykręgo wstępu.

— Och! to moja wina! cała moja — odrzekła uprzejmie — że się chowam jak dzika, i dla własnej tylko przyjemności płakania sam na sam, nie myślę nawet o sposobach uprzyjemnienia tu choć w czemkolwiek pobytu tym, którzy tak szlachetnie podjęli się dzielić mą samotność.

— Jeżeli to i do mnie się stosuje — odpowiedziałem nieco śmieiej — więc z twych słów kochana siostró, podwójnie muszę poczuwać się do winy; bo jakżem to dopełnił rozkazu naszego ojca: aby tu jeżeli nie weselej, to przynajmniej ludniej było przezemnie. Po całych dniach przebywam w polu, myśląc tylko o własnej zabawie, tak że dotąd jestem ci prawie nieznanym.

Natalija zwróciła na mnie wejrzenie pełne dobroci i przenikliwości. Widocznie ucieszył ją ten dowód dobrego serca z mojej strony, ale był dla niej całkiem niespodzianym. Rzekła mi więc z pewnem zatrudnieniem co do tonu, jaki względem mnie przybrać miała: — Zupełnie nie słusznie obwiniasz się, kochany bracie! W smutnym, podobnym mojemu położeniu, prawdziwym jest dobrodziejstwem mieć nieograni-

czoną swobodę myślenia i płakania. Jestem więc najczulej wdzięczną i drogiej mamie i tobie, za tę zupełną, zostawioną mi swobodę. Widzę w tem najlepszy dowód waszego względu i spółezucia ku mojemu nieszczęściu.

— Co do naszej matki, nie mylisz się zapewne, kochana siostró, przypisując jej te piękne pobudki. Ale co do mnie, to chyba mi oświadczasz wdzięczność jak dziecku: że przynajmniej zachowało się spokojnie i nie przyczyniło ci wrzawy w boleści. Smutno mi to, tem smutniej, że słusznie.

— O nie! nie, mój dobry bracie! nie podobnego! Ale każdy nieszczęśliwy staje się tak trudnym, niemal zazdrośnym w swojej boleści. Zda się nam, że nikt drugi nie może jej równie nawet pojmować, nie dopieroż podzielać. Ale bądź-że mi gościem, kochany bracie! — przydała tonem mniej smutnym, dla rozerwania rozmowy — oto są książki Leona! może je zechcesz przejrzeć?

— Rzecz dziwna! — rzekłem — wszystko mi się zda widzianem już i znajomem w tym pokoiku.

— Może ci go opisywała kochana Pau-

lina, co tu nas parę razy kryjomo odwiedziła.

— Nie! nie! Paulina nie sądziła mię jeszcze zdolnym do podobnych powierzeń. I nie mógłbym nigdy z opisu nabyć tak dobrego o każdym szczególe wyobrażenia. Co większa, patrząc na sprzęty tego pokoiku czuję obudzające się w sobie jakieś niby przypomnienia, wprawdzie nie dość wyraźne, ale niewątpliwie moje własne. Nie! żadne opowiadanie nie mogłoby nigdy usposobić do czegoś podobnego: chybam to wszystko widział we śnie.

— Może-ś był kiedy, kochany bracie, w tym domu, jeszcze w dzieciństwie i pamięć dochowała ci wiernie sam obraz miejsca, ale odmiany zaszła potem w urządzeniu tego mieszkania nie pozwalają ci zebrać się zupełnie ze wspomnieniami. To się dość często zdarza. Miałam nawet tego dowód na sobie samej. Odwiedzając już z Leonem mą ciotkę, u której wychowywałam się do siódmego roku, a potem nie byłam przez lat dziesięć, nie mogłam prawie poznać tego domku, tak mi lubego. Na każdym kroku biedziłam się z pamięcią, i odnawiałam niejako mą dawną zna-

jomość z każdą rzeczą. Jednak ta walka ze wspomnieniami, jeżeli tylko nie muszą one kończyć się na łzach boleści, przyjemną jest niewymownie.

— Tak, ale moje widzenia zupełnie innego rodzaju. Są one tak szczegółowe i nadzwyczajne, że jeźliby choć w połowie miały być zgodne z prawdą, to nie wiem nawet, w jaki sposób dałyby się objaśnić? Chyba mi się dostał dar magnetyzmu nie odstępujący mię i na jawie. Naprzykład, posłuchaj droga siostrze, choćby o tych drobiazgowych szczegółach, jakie w tej chwili uobecniają się w mej pamięci, i proszę cię, jeżeli one są tylko szczerem może marzeniem, nie bierz mię jeszcze za obłąkanego; naprzykład, zda mi się że w tem samym miejscu, przy tem samym biurku, jak cię teraz zastałem, nie umiem ci opowiedzieć jak? i kiedy? alem widział was z Leonem naprzemiany zajętych tłumaczeniem jakiejś książki. Wyrwaliście sobie nawzajem tę pracę, dzieliliście się nią na godziny, zastanawialiście zegar, gdy jedno z was spoczywało, musiało to więc być w nocy.

Natalija patrzyła na mnie pilnie lśnięcemi
Doktor Panteusz.

od łez i podziwienia oczyma. Miałem w tem najlepszy dowód, że nie był igraszką własnych złudzeń, mówiłem więc dalej:

— Inną razą, zda mi się znowu, że widział cię kochana siostrze, w tem samym miejscu piszącą list do Leona. I oto szczegół, zapewne z siebie nieznaczący, ale jeżeli mi go potwierdzisz, to niepojęty i niewytłomaczony niezem prócz jasnowidzenia. I oto widzę miły, jak przylatuje i usiada na twym ramieniu skowronek: ściągasz doń rękę i on ci się nie broni, całujesz go, i on się tuli do twojej twarzy. Natychmiast opisałaś to wszystko w liście do Leona.

— I nigdyś nie widział, nie czytał tego listu? — przerwała mi Natalija. A w głosie jej przebijało się i zdumienie, i pewny przestrah, i coś podobnego do podejrzenia, że nie posunął się może aż do przezierania w jej biórku.

— Więc opowiada ci, kochana siostrze, rzeczy prawdziwe? Więc coś podobnego było? było w rzeczy samej? — zawołałem niemniej szczerze wzruszony i zdumiały. — O jeżeli tak, to widział i opowiem ci stokroć cudowniej-

sze rzeczy! Lecz zechcesz-li kochana siostrze słuchać mych powierzeń? Nie czyniłem ich dotąd nikomu, ani nawet mamie. Nie chciałem jej zasmucić. Lękałem się, czylin nie obłąkany? Ach! i przed tobą, szczególnie przed tobą nie powinien-hym może... bo tyle mych wspomnień odnosi się do ciebie, wiąże się z twą przeszłością: ale sam nie wiem co mi zniewala, z kąd mi przychodzi jakaś pewność, że choćby nawet moje widzenia miały być tylko nieszczęsnem chorobliwym urojeniem, to i tak, przez samą litość nie podasz mię na pośmiech, przebaczysz mi i nie zostawisz w błędzie!

W głosie mym i wyrazie twarzy musiało być tyle prawdy, że dobra Natalija wnet pożałowała swych mimowolnych przypuszczeń, i ścisnąc me ręce rzekła ze łzami: — Och! mój bracie! Zkądkolwiek wiesz o tem wszystkim coś mi powiedział, czy ci jaki człowiek opowiedział na jawie, czy twój stróż-aniół odsłonił ci we śnie, ani się domyślasz jak głęboko utkwily twe słowa! Nieszczęśliwi podobnie jak chorzy, tak łatwo i z takim utęsknieniem zwracają się do każdej nadziei, tak

szczerze pragną i z taką ufnością wyglądają cudów, dobry Boże! jak gdyby ich byli godnymi! Nie śmieję się więc nawzajem z mej łatwej wiary, ale ten zbieg twojego opowiadania z rzeczywistością, tyle nadziei tyle uczuć wywołał razem w mej duszy, żem gotowa słuchać twych słów, jak głosu uatehnienia.

22.

— Naprzód, zda mi się, kochana siostró, żem się znajdował i nawet długo, na jakimś dalekim świcie, bez porównania piękniejszym od naszego. Za jaką karę i kiedym go opuścił? nie zasięgam tego dobrze pamięcią. Podobnie jak po śnie miłym, zostały mi tylko niejasne wspomnienia, i jakaś bezimienna tęsknota.

— Może też w rzeczy samej, są to kochany bracie, ocalone obrazki tych złotych snów dziecińczych, przyniesionych jeszcze z raju, które zarówno widzi piastunka pochylona nad kolebką niemowlęcia, jak i myślący sercem poeta, jak i filozof dochodzący początku pojęć ludzkich?

— Dzięki ci, kochana siostró, że tak dobrotliwie chcesz mię uspokoić i nadać jakikolwiek usprawiedliwiający pozór moim bezładnym marzeniom. Ale dalsza treść ich, sam to czuję, tak zbliżona do obłąkania, że nie da się objaśnić niezem. Naprzykład cożbyś powiedziała o przywidzeniu, żem upadł niby z tego górnego świata w kropli rosy, zamienił się wnet w trawkę, dalej w świecącego robaczka, i został podjętym, jak się potem okazało, przez ciebie samą, przyniesionym do tego pokoiku i złożonym na wazonie rezedy. Nie widzę tu teraz tego wazonu, ale nie wstydzę się wyznać, żem zaraz na wejściu szukał go oczyma. Potem przez czas niejaki latałem po tym samym pokoju w postaci skowronka.... Dalej nie śmiem już i nie chcę nadużywać twej dobroci.

— To też może być sen tylko, pamiętny ze swej osobliwości! — rzekła mi z uśmiechem Natalija. — Kto-ż z nas nie zazdrościł lotu ptaków, i nie miał czasem spełnienia tego szczęścia we śnie? choć ta odmówiona ludziom własność latania, pospolicie czyni sen niewymownie mordującym, jakby za karę niepodobnego żądania. Ale co mię coraz bardziej

i bardziej zdumiewa w twem opowiadaniu, to dziwny zbieg tych właśnie szczegółów, w których zdajesz się odwoływać do mojego światectwa. W rzeczy samej, — znowu cię przepraszam, kochany bracie, za śmieszność z jaką spieszę naginać twe słowa do moich osobistych wspomnień — w rzeczy samej, oboje z Leonem bardzośmy lubili świetliki, i zwykle-m je składała na rezedzie, i upłynionego lata — żywo sobie przypominam ten szczegół — było to za smutnych czasów nielaski na nas rodziców, otóż z powodu pierwszego znalezione go świetlika, najniewinniej doprowadziłam do łez mojego biednego Leona. Powiedziałam mu, że mamy jaśnie oświeconego gościa. Leon wpadł na myśl: czy nie wuj nasz wspomniął sobie o nas nareszcie? Jam czas jakiś utrzymywała ten żart niewczesny — a skończyliśmy na płaczu!

— Więc jam słyszał, i mogę powtórzyć tę rozmowę! — przerwałem z taką szczęśliwą pewnością, z jaką niegdyś Jan Jakób Russo stanął do kierowania orkiestrą.

I w rzeczy samej powtórzyłem całą tę rozmowę od słowa do słowa: choć zupełnie nie

umiałem zdać przed sobą sprawy, z kąd mi szły i wspomnienia i wyrazy?

— Tyś jasnowidzący! mój bracie! — zawołała Natalija i w mimowolnym przestrawieniu odstąpiła odemnie.

— Ale nie obłąkany? Och! powiedz mi to, powtórz droga siostrze! Więc czegoż się mię lekasz? — mówiłem nie czując jak mi łzy płynęły.

— Nie, nie lekam się ciebie, kochany bracie! Ale twe przeznaczenie tak oczywiście wyższe, nadzwyczajne, ubłogosławione, że pomimowolnie coś jakby mi nakazuje mieć się w oddaleniu.

— Więc dodaj, droga siostrze, najniebezpieczniejsze przeznaczenie! Bo ja przeciwnie takbym pragnął zbliżyć się ku tobie, i tak mię coś nagli otworzyć ci coprędzej całą mą duszę, jak gdyby jutro nie było już mojem. I na nieszczęście, nie sam tylko niepewny głos przecucia dręczy mię tą myślą. To dzisiejsze skaleczenie ręki, które-m złożył przed matką na przypadek — błagam cię w tem kochana siostrze o najściślejszą tajemnicę — jest raną zadaną mi od wściekłego zwierza! Nie odkryłem tego przed matką: gdyż to było mym obowiązkiem; lecz od chwili jak niebezpieczeń-

stwo śmierci stanęło przedemną, a nadewszystko od chwili jakem posłyszał od ciebie kilka słów litości, sam niewiem co ze mną? Czuję tylko, że myśli me rozwidniły się nagle, że dawno utracone wspomnienia, te właśnie o których ci teraz opowiadam i tyle mam jeszcze do opowiedzenia, tłumem mi z kądś przychodzi: łzy jakies nieznanne ciągle cisną mi się do oczu: a serce, och! przysięgam zda się, że cała ma dusza teraz w sercu! — serce ciągnie mnie ku tobie, każe ci wyznać wszystko, wierzyć ci we wszystkim bez najmniejszej obawy, i lubo ledwie jesteś mi znajomą, każe mi cię kochać równie... ach! więcej niż ojca niż matkę! Ktoś ty Natalijo! Dopomóż mi w tem przedśmiertnem pomieszaniu, czy rozszerzeniu moich myśli! Odpowiedz mi, czy tak jest, jak mię upewnia głos jakiś wewnętrzny: żem cię znał już przedtem?

Natalija przez kilka chwil nie mogła się zebrać na słowa. Patrzyła mi tylko w oczy przenikliwie, uważnie i z jakąś przytem bojaźnią: lecz łzy jej świadczyły wymownie, że wiara w me natchnienie zaczynała w niej ustępować przypuszczeniu: czyli nie obłąkany?

Po jakimś czasie, dla odmienienia rozmowy i uspokojenia mię względem niebezpieczeństwa, które tak oczywiście podziało na mój umysł, zaczęła mię ona zapytywać o zdanie lekarza o mej ranie, i zalecone przezeń sposoby: spodziewając się po znanym jego rozsądku, że zapewne nie mógł mi powiedzieć nic zatrważającego.

Opowiedziałem jej najspokojniej całą naszą rozmowę z lekarzem.

— Widzisz, kochany bracie, — rzekła mi siląc się na uśmiech — żeś sam sobie i stworzył i upoetyzował niebezpieczeństwo. W czasach tak trudnych do wyżywienia się nawet ludziom, i takiej srogiej zimy, jaką mamy, nie dziwnego że mógł się rzucić na twój wyżał zwierz zgłodniały: a potem, rozszrożony śmiertelnym postrzałem, obrócił się i ku tobie. Dzięki Panu Bogu, że cię raczył tak cudownie ocalić. Wielkie to zapewne, bardzo wielkie było niebezpieczeństwo: gdy jednak już przeszło, ja sama, nawet będąc kobietą, nie dręczyłabym się dalej smutnemi myślami, ale pamiętałabym tylko na całe życie o tym wypadku, jako o widomych cudzie łaski i opieki

Boga. Lecz pozwól mi obaczyć twą ranę, kochany bracie! Lekarz kazał ci ją często opatrywać: niech-że to już do mnie należy; bo jątrzenie rany, nawet nieznaczącej, zawsze-by bardzo zatrważało mamę.

Słuchałem jej słów i powodowałem się rozkazowi, nie umiem wypowiedzieć z jaką radością. Sam jej głos już mię przekonywał, zaspakajał, i wnikał tak słodko do mojego serca, że chociażbym nawet nie pojmował tych pełnych rozsądku wyrazów, słuchał-bym i słuchał jej głosu, jak muzyki najroskoszniejszej, unoszącej w świat jakiś pokój i niewysłowionego szczęścia.

Lecz gdy mi ona dotknęła ręki i zaczęła opatrywać mą ranę, uczułem w sobie dreszcz i bicie serca tak gwałtowne, i taką jakąś radość, wdzięczność, rozrzewnienie, i taką trudność w samem oddychaniu, że nie znajdując słów które-by mogły wydać ten stan mojej duszy, upadłem na kolana, i przyciskając do ust jej rękę, zacząłem płakać jak dziecko.

— Czy cię tak boli? kochany bracie! — spytała mię ona głosem pełnym spół-czucia.

Pytanie to ubodło mię i ocuciło. — Więc mię ona uważa za dziecko, dostępnę tylko łzom

boleści! — pomyśliłem. I w oka mgnieniu pohamowałem się w płaczu, powstałem, i nie śmiejąc wzniesć na nią oczu, odrzekłem spokojnie:

— A twoje łzy, siostrzo, zawsze-ż są tylko skutkiem dojmującego cierpienia?

— Och! łzy sieroctwa, rozłąki, wiecznej może — przydała drżącym głosem — obyś nigdy nie wiedział o nich mój bracie!

Słowa te były powiedziane tak smutnym i uroczystym tonem, że jeźlibym nawet w tej chwili rozstawał się z nią na zawsze, jeźlibym wiedział z pewnością że umrę za godzinę i nie ujrzę jej w chwili zgonu — nie ośmieliłbym się jej wyznać, ani napomknąć nawet: dla czego płakał, i com czuł żegnając się z nią na wieki.

Na szczęście, dał się w tem słyszeć dzwonek z pokoju mej matki.

Oboje z Nataliją jakby zmownie (tak zarówno musiała nam ciężyc ta rozmowa) wybiegliśmy do przedpokoju. Lecz gdy już nas uprzedził służący, rozeszliśmy się w milczeniu, starannie unikając wzajemnego wejrzenia.

23.

Odtąd, lubo codzien upływała mi największa część czasu w towarzystwie Natalji, im bliżej wszakże poznawałem jej piękną, nie-
szczęściem jeszcze bardziej wzniesioną duszę, tem więcej coś jakby mię kępowało i odciągało od wyznania jej mych uczuć. Tailem je w sobie jak zgryzoty sumienia: i przychodziło mi to z tem większą może walką, że co chwila miałem sposobność do odważenia się na to upragnione wyznanie; kiedy przeciwnie dręczonemu męczarnią sumienia, każda podobna sposobność przypomina tylko potrzebę nieufności, a przez to, możnaby powie-

dzieć, ułatwia niejako ciężki trud czuwania nad sobą.

A jednak codzienny widok tej nieporównanej łagodności, dobroci i cnoty, ile-ż mi przysięgam dobra i szczęścia przynosił! Cnota i występki posiadają zarówno talizman pociągający i przypodobniający do siebie: ale na szczęście, urok występków ogranicza się tylko obecną chwilą; wtedy gdy dobroczynna potęga cnoty nie przestaje działać na nas i w samotności i w rozmyślaniu. A więc podwójnie drogim było mi towarzystwo Natalji. Ona stwarzała, wznosiła, i upiękniała moje myśli: ona mnie nauczyła obowiązku walczenia z sobą samym i okazała mi cenę i świętość tej walki: ona to nakoniec, przeniknąwszy od razu instynktem kobiety, zajmującą się we mnie nieszczęsną ku niej skłonność, umiała otoczyć taką godnością i uszanowaniem codziennie nasze stosunki, żem pragnął i szczerze zadawał sobie pracę zapomnieć o mojej miłości, jak o niepodobieństwie; a natomiast nawykłem całą duszą do jakiegoś pełnego nieba uczucia przyjaźni, czy synowskiego przywiązania, z jakim w obec Leona i całego świata mógłbym ku niej pozostać.

A jednak nie odtrąciła mnie ona od siebie, nie upokorzyła, nie zasmuciła mnie nawet, ani razu. To tajemnica prawdziwej cnoty i dobroci. Owszem byliśmy z sobą na stopie codzien bliższej, ufniejszej, weselszej. Tak jest, weselszej. Anielska moja siostra znalazła dość w sobie mocy do okazywania się ze mną swobodną, nawet wesołą. Przewidziała ona, że obejście się smutne z jednej strony podsycaloby we mnie te złowrózbe przecucia i myśli o śmierci, z którymi nieraz dałem się jej słyszeć: z drugiej znowu strony raniło-by mnie przypuszczeniem, że moje pierwsze niedopowiedziane wyznanie pozbawiło mnie jej szacunku: a więc w obu razach podobne obejście się mogło-by nieuchronnie doprowadzić do jakiegokolwiek tłumaczenia, którego Natalija nadewszystko uniknąć chciała; przewidziała to ona, i wołała zamknąć swe łzy w sercu, niż nastęrczyć mi możliwość myślenia i pytania: czy w jakikolwiek bądź sposób nie jestem też czasem jej łez przyczyną?

Słowem, że powtórzę raz jeszcze to porównanie, Natalija w codziennych ze mną stosunkach, przypominała ciągle obraz chorej matki,

uśmiechającej się wśród boleści. Ztem wszystkim ta ustawiczność pokonywania swych cierpień i panowania nad uczuciami (bo odtąd nigdzie mi nie mogło być dobrze tylko przy Natalji) jakże wielką i ciężką pracą musiała być dla jej duszy! I jaka cudowna piękność, jaka to była moc tej duszy, bez przerwy czuwającej nad sobą, i jakby na jakichś nieruchomie rozpostartych skrzydłach unoszącej się nademną w takiej wysokości, żem mógł ją tylko podziwiać i uwielbiać i kochać w milczeniu!

Nieraz przecież czytając Natalji, ulubione od niej smutne pienia Junga albo uroczne obrazy Milтона, te wspomnienia wygnańca z raju, pisane łzami tęsknoty, doznawałem takiego wezbrania uczuć i bolu serca, żem przerywał czytanie, i mimowolnie zaczynałem opowiadać o mych własnych widzeniach innego jakiegoś świata, których tak niewątpliwie zasięgałem myślą, ale w żaden sposób nie zdołałem objąć i uporządkować w pamięci.

— Jeżeli twoja prawda, kochana sestro — mówiłem jej czasem — jeżeli to są tylko sny z kolebki, jeżeli mi one przyłgnęły do myśli, abym tęsknił za niemi, tak jak podania o raju

weszły do historyi wszystkich ludów, i tyle łzawych pieni wywołały poetom, to czemuż twój obraz zawsze i wszędzie krzyżuje się mi w tych wspomnieniach? Dla czego te, jak nazывasz, sny moje od tej dopiero chwili stają się mi widniejsze, jakieś mię podjęła z ziemi w postaci robaczka?

— Szezere marzenia! kochany bracie! — odpowiadała mi z uśmiechem. — Daj się przecię przekonać o tem własnymi słowami. Wszakżeś mi mówił, że na tym jakimś cudownym świecie, gdzieś bawił, dzięki poetycznym skrzydłom młodości, nie było ani jednej kobiety! Zkąd-że znowu, i przez jaką szczególną łaskę mógł-by się tam mój cień dostać i zawiązać z tobą znajomość? Jam od ciebie o parę lat starsza, i mogę cię uręczyć, że od śmierci matki, która mię w pierwszym roku osierociła, aż do lat siedmiu, ani cieniem nawet nie mogłam się wydalić z domu ciotki: bo ledwitem zaczęła chodzić — pamiętam to dobrze pamięcią sieroty — zawsze mi jakąś pilną robotę wynaleźć unjano: potem zostałam oddaną do panien Wizytek, gdzieśmy zostawały za ścisłą fórtą: tak więc, sam przyznaj, że nie było

nigdy ani możności ani podobieństwa, abyśmy się znali już dawniej. Nie mówmy więc o tem, kochany bracie! Zwłaszcza że ten zbieg kilku malutkich szczegółów miejscowych, nad którym tak skwapliwie okazałam ci nieograniczone podziwienie, jakim się potem lepiej nad tem zastanowiła, był oczywiście przypadkowym. Bo z resztą, wszystkie te nadzwyczajne rzeczy, których, jak mi mówiłeś, zasięgasz pamięcią, są mi zupełnie niezajome. Nie wymagaj więc po mnie świadectwa, którego ludzie sobie nawzajem dać nie mogą: czy prawdziwe są i właśnie te same obrazy, jakie ktoś z nas miał w dzieciństwie? Zdarzać się może, że myśli te i obrazy u wielu bywają podobne: porównanie ich więc staje się niekiedy dziwnem i bardzo zajmującym: ale zupełnej to samości ani żądać nie podobna. Tem bardziej, gdy komu dostał się w udziale, jak tobie kochany bracie, ten jakiś zbytek pamięci, który ci dochowuje takie nawet szczegóły, jakie dla nas znikły już bez powrotu, razem z temi złotemi snami, co zlatywały do nas niegdyś na śpiew piastunki. Tak, powtarzam, tyś chory na zbytek pamięci, kochany bracie: jeżeli to tylko mo-

zna nazwać chorobą. Ale pójdźmy do mamy! Jej pewnie smutno i tęskno samotnej!

W ten lub podobny sposób umiała ona zawsze oddalić każdy obrót rozmowy, ilekroć mógł on przybliżyć do jakichś wyznań z mej strony. Nawet wspomnień o Leonie oszczędzała ona sobie z zamiarem, jak skoro z ich powodu zaczynałem odwoływać się do mych cudownych widzeń: chociaż łatwo zgadnąć, że nie zszedłbym nigdy zapewne w tem opowiadaniu aż do ostatnich chwil Leona.

Ztem wszystkiem ten tryb ohejścia się natchniony taką przenikliwością, rozsądkiem, dobrocią i mocą serca, opierał się na ustawicznej walce i usiłowaniu. Niepodobna mi było tego przynajmniej nie dostrzedz, poznając codzien bliżej i bliżej nieporównaną mam siostrę: bo najulotniejsze jej słowa, najmimowolniejsze wzruszenia, i nawet odpowiedni im wyraz twarzy, nigdy nie były dla mnie stracone. Nadewszystko gubiłem się w domysłach i nie umiałem sobie objaśnić, dla czego Natalija każdą razą gdy wchodził do jej pokoju, jakkolwiek powinna była się oswoić i obrócić już niejako w nałóg me towarzystwo, nigdy przecież nie

mogła uniknąć i pokryć w sobie widocznego zakłopotenia? Spieszyła ona wprawdzie w podobnych razach osłonić natychmiast swój przestrach jakimkolwiek wesołym słowem, oskarżała się o przyrodzoną lęklivość, o niepoprawione roztargnienie, albo obwiniąta mię o talent nabawiania jej zawsze trwogi przy wejściu, o szczególny sposób obchodzenia się z drzwiami i t.d. Gdy jednak wszystkie te zarzuty i przyczyny były oczywiście stworzone nie pod wpływem pierwszej chwili, ale obmyślone już potem, i gdym mógł sprawdzić nieraz, że prócz mnie nikt z domowych nie przyczyniał jej tego mimowolnego wstrząśnienia, zacząłem myśleć, że albo mój widok jest jej niemiłym, obawianym i tak ją przeraża, jak zwykł przerażać widok człowieka zbliżonego do obłąkania: albo — dla niej już nie obcy, i może — m był nawet wyglądany w tej chwili; lecz każde moje zjawienie ostrzega ją oraz o konieczności trudnej walki, jaka ją czeka?

Ostatnie to przypuszczenie opłacił-bym ceną życia, jeźlibym mógł zamienić na pewność! Ale głos jakiś szydreczy, zimny, nielitościwy, mówił mi zawsze w podobnych razach: — « Jak

« się ty łudzisz biedny! Niema śmieszności i « niepodobieństwa, do których-by nadzieja nie « umiała przysklepić swej nikłej pozłoty. Nie « wiesz-że ty o tem?... »

I nieopisany smutek, przestrach, rozpacz obejmowały mię wtedy. Bo głos co mi powtarzał te słowa — nie mogłem się mylić — był to ten sam właśnie, który mię upewniał o widzeniach innego świata, i o naszej dawnej znajomości z Nataliją.

24.

Jednak w części wynagradzało mi tę wewnętrzną walkę słodkie uczucie: żem czynił z siebie jakąś ofiarę dla spokojności Natalji. Ofiarę! Ach! to rzecz dziwna, jak łatwem i obfitem jest w złudzenia serce młodzieńca! Taić i zamykać w sobie najtkliwszą skłonność ku osobie ukochanej, zda się mu pewnym rodzajem ofiary: gdy właśnie ta niewyznana skłonność, dopóki niewyznana, jest mu całym zaklętym światem, w którym on króluje samowładnie, w którym co chwila może on sobie stwarzać cuda, urozmaicać swe szczęście, i rozrządzać na jawie snem najroskoszniejszym!

Dnia jednego — było to już przy końcu kwietnia — poranek był prześliczny, sławne na całą Litwę nadniemeńskie słowiki nie umilkły, promienie wschodzącego słońca przelewały się z falami rzeki, wesołe barki w nieskończonym szeregu ciągnęły jedna za drugą i znikwały jak jakie zaezarowane pływające miasta, a gdzieś wysoko pod niebem para orłów odwoływała się ku sobie miłośnie. Jak-że mi zdała się znajomą ta podobłokowa rozmowa! Przełożył-bym ją na własne uczucia, na myśli, na wyrazy. I czułem się w tej chwili pełnym takiej jakiejś niczem nie zachwianej odwagi, tak ufny w czystości mojego przywiązania i uciśnionym tęsknotą, że jeźlibym znajdował się w obec Natalji, wypowiedział-bym już jej wszystko, co mię udręcza, boli, i co mi kępuje usta, i co mi wlewa czasem do serca jakąś nadzieję, i co mi odejmuje wszelką nadzieję. Tak, wypowiedział-bym jej wszystko! — Bo jest-że w tem wina — myśliłem gniewając się na łyzy swoje i nie mogąc się im obronić — żem ją ujrzał i ukochał, że pragnął-bym znać jej myśli, posiadać serce, być przy niej nierozdzielnie, móż jej mówić wszystko, tulić się do niej, ścisnąć

jej ręce, zcałowywać łzy z oczu? Ale nie! ona-by nie płakała nigdy, wiedząc że ją tak kocham, że gotów dla niej na każde poświęcenie, i że wołał-bym, Bóg świadkiem, każdą jej boleść przenieść na siebie!

Ujęty temi myślami, przeniosłem się z obrazem Natalji gdzieś daleko, daleko, nie umiem powiedzieć: czy pod obłoki, z kąd mię dochodził radośny krzyk orłów: czy na jaką samotną wyspę, na jednej z tych barek szczęśliwych przesuwających się wciąż przed memi oczyma: czy na księżyc który lubo stał teraz w nowiu i zdawał się nie większym od plamki na burzynie, ztem wszystkim wywierał na mnie dziwny jakiś urok, jakby mię ciągnął do siebie — gdy w tem dał się słyszeć nieopodal krzyk przestachu i boleści — i wnet wołał mię po imieniu o ratunek, głos Natalji.

Nie pomyślałem nawet, czyli się nie łudzę, czym jeszcze nie w świecie mych marzeń: rzuciłem cię na ten głos jak na skrzydłach. Dobiegam, widzę ją klęczącą, wspartą jedną ręką na ziemi, i bezwładną z przerażenia — ogromny wąż sycząc usuwał się od niej. Zdeptałem, zgmiotłem w oka mgnieniu gad nieszczę-

sny. Natalija spokojnie patrzyła mi w oczy, ale z tą niemą spokojnością, jaką ma dziecię wyniesione z wody, lub z płomienia. Uplynęło kilka minut, nim mogła ona przyjść do siebie i znalazła słowa. Powiedziała mi wtedy, że wąż ukąsił ją w rękę, gdy chciała zerwać leśny siołek, że w pierwszej chwili nie zdołała ona uciekać z przestachu, a teraz czuje ból wzmagający się i taki jakiś ciężar w ranionej dłoni, że ani władnąć nią, ani dźwignąć od ziemi nie może. Ona mówiła a jam czuł jej cierpienie. Sam nie wiem czym słyszał kiedy o podobnym sposobie ulżenia boleści, ale zdało mi się, że byłoby najprędzej i najłagodniej wyciągnąć ją usty: przypadłem więc do rany i nie oderwałem się od niej aż Natalija odzyskała nakoniec tyle władzy, że potrafiła umknąć mi rękę i podnieść się z ziemi. Wtedy wspierając się na mem ramieniu, i wymawiając mi najzulej, że się dla niej tyle naraził, i obwiniając siebie po co mię zawołała na pomoc, pomknęła się już ona była usty aż do mej twarzy: lecz w tej samej chwili, zalewając się łzami, cofnęła się na powrót, i rzekła tylko te słowa przerywane łkaniem: —

« Ach! czemuś ty, czemu nie rodzonym mym bratem! »

Resztę drogi do domu przeszliśmy w milczeniu. Natalija żałowała może swojego mimowolnego wykrzyknienia: a ja myślałem wciąż o nim z taką roskoszą, z taką jakąś gwałtowną dziką radością, że niemal błogosławiłem w duchu przypadkowi. I jak-że byłem szczęśliwy tem nadewszystko, że nawet w najwyższym uniesieniu, wtedy gdy już czułem oddech na mej twarzy, znalazła ona tyle mocy nad sobą! Bo jeźliby mię pocałowała, och! żadne już złudzenie, żaden z wybiegów serca nie mógłby mi dowieść: że dla niej nie zupełnie obojętny, że mi pozostaje przecie choć nadzieja!

A teraz!!

25.

Teraz całą naszą przeszłość, całe jej dotychczasowe postępowanie ze mną, oświeciła mi jakby jakaś bijąca łuna radości i nadziei. Nie mogłem tego szczęścia zawrzeć już w sobie. Zaledwie zdałem Nataliją staraniom matki, pospieszyłem znowu na to samo miejsce, któremu byłem winien najroskoszniejszą chwilę w mem życiu: i w przepelnieniu uczuć modliłem się, płakałem, uśmiechałem się do całego świata. O radbym był teraz wskrzesić nawet węża, który drgał jeszcze roztarganemi ogniwami życia. Bo rzecz dziwna, jaka szczególna tkliwość, a z nią jakie myśli opanowały zagnały me serce!

Ten płaz tak niemily i samym swym widokiem mimowolnie wrażący coś okropnego, jakby był skazanym na wieczne przypomnienie kłatwy, której przezeń uległ ród ludzki, wydał mi się godnym najszczerzej żalości! — Jaka-ż i w czym jego wina — myślałem — że mu tak potrzeba ukrywać się z życiem? Zwierzęta, ptaki, i ludzie, są mu przyrodzonymi niejako nieprzyjaciółmi: a komu-ż żyć nie miło? Któż-ż niema na świecie swojego szczególnego celu, swoich tajemnych radości i roskoszy? Wszakże się on tuli w swych kryjówkach i nie wypada na człowieka! A jeżeli mu się broni, ostrzegany instynktem że ma w nim śmiertelnego wroga, to za cóż go dla tego poczytywać najohydniejszym z tworów! I biedna mrówka, której na każdym niemal kroku człowiek śmierć zadaje, jak uragan samem swem przejściem, i biedna pszczołka której wydiera pracowity zasób często razem z życiem, bronią się też z całej odrobiny swej siły. Wąż jest straszliwszym w obronie, ale cały ten jad jego tak okrzyczany z gwałtowności, czem-że jest w porównaniu środków napaści, jakie nań człowiek zawsze ma w pogotowiu? Jeden cios ludzkiej

ręki zdolnym jest rozciąć na części ten płaz biedny, udarowany taką potęgą i razem taką nieszczęśliwą podzielnością sił życia, że odbiera on czasem i doznaje w jednej chwili, kilka i kilkanaście śmierci. Cóż smutniejszego, jak patrzeć na te posieczone ułamki, z których każdy zatrzymuje w sobie tak upornie władzę organiczną: i wszystkie wiją się, drgają, podskakują do góry, szukając siebie nawzajem; ale nie mogą wrócić do spójni, nie mogą się znaleźć, i coraz dalej a dalej rozbiegają się w przeciwnie strony — jak małe dzieci obłąkane w lesie i łudzone echem (omanem)! — jak wyciągnięte na brzeg ryby, rzucające się z całej mocy, wstecz od rzeki!

Ztem wszyskiem, jak-że pocieszający w tem znowu dowód dla myśli! Więc ta śmierć, którą przesady oblekły w tyle postrachów, jest szczerem urojeniem! Więc duszy oddzielnej, przemieszkującej w jednym przybytku, czy w jednym jakimś ognisku nie ma oczywiście: bo oto każdy z tych poszarpanych szczętów przed chwilą spojonej jednostki, żyje jeszcze doskonałym życiem odrębnem! Albo więc przypuścić należy dusz kilka, kilka pierwiastków życia,

w jednej i tej samej istocie, objawiającej tak wyraźnie i długo oznaki bytu, już po rozprzężeniu wszystkich warunków tak nazwanej indywidualnej całości: albo gdy to jest jawną śmiesznością, uznać koniecznie wypada, że jedna jest tylko dusza wieczna, powszechna, ogarniająca w stni i strzeni myryady form i istot, nie opuszczająca ani na chwilę żadnej z tych form i istot w istni i przestrzeni, jedna i taż sama w słońcu co i w kamieniu, ze stopniowaną tylko odmianą nieuchronnych w układzie wszech-świata cieniowań: a zatem nigdy i w niczem śmierci niema, nie było, i być nie może!

Dziwne to zapewne były rozmyślenia w chwili, gdym się czułem tak szczęśliwym; i sam nie pojmowałem, jakem wpadł na nie. I nad tę jakąś dziką radość w przekonywaniu siebie, że nie ulegnę nigdy rzeczywistej śmierci, ale mam tylko odmieniać postaci bytu, bez porównania byłaby dla mnie miłszą nadzieja powzięta w dzieciństwie, wyczerpniona że tak powiem, z serca, i poparta słodkimi słowami matki, gdym szedł z nią za najpierwszą truną: że na ziemi wszystko ulega śmierci, a więc i ja jej ulegnę,

ale odżyję za to w lepszym świecie, i spotkam w nim tych wszystkich, co mi tu byli drogimi! Nadzieja ta szczególnie słodko harmonizowała się z obecnem usposobieniem mojego serca: bo ukazywała-by mi na spotkanie z Nataliją i wieczny z nią pobyt w tem przyszłem czystszej życiu, gdzie podług słów wiary, mamy się połączyć w jedną szczęśliwą rodzinę, u naszego powszechnego najlepszego ojca!

Ztem wszystkim, sam nie wiem jak i dlaczego, o władnęły mną właśnie w tej chwili, myśli panteistyczne? Widocznie były mi one jakby cudze, a jednak nie mogłem się im obeznać. Owszem jak zapamiętały grzązłem w nich, coraz z większem coraz z nieszczęśliwszem upodobaniem. — Śmierci niema! przypadająca na nas cząsteczka życia przebiega wciąż pierwsze lepsze zdarzone odmiany bytu: a więc dla czegoż mam unikać Natalji, gdy mi nie nie zaręcza, czy ją spotkam kiedy? czy spotkam nadewszystko w takim jak teraz podobieństwie naszego wieku, uczuć i myśli? i w tej anielskiej krasie jej oblicza? — Może kiedyś, po milionach wieków, zejdziemy się z sobą i rozumiemy obojętnie? Może zamiast tego lubego i niepokona-

nego pociągu, jaki czujemy teraz ku sobie, spotkamy się w formach śmiertelnie wzajem nienawisnych? Może nie spotkamy się nigdy, jak nie spotykają się z sobą promienie wschodzącego i zachodzącego słońca? — Za cóż więc sobie odmawiam rokoszy oglądania jej, koebania, całowania tych ust, które przed chwilą podawały się mi same, ale cofnęły się potem, gdy jak dziecko płonąc od wstydu, wahał się przyjąć dawane uściśnienia, nie śmiał rzucić się w jej objęcia, i mieć ją, i nazywać moją! Dla czego-ż jeszcze się ociągamy!

W miarę jak te myśli porywały mię za sobą, głowa ma gorzała, w piersiach robiło się duszno, wzrok powlekała jakaś pomroka. Siliłem się przejrzeć: ale jakby w jakimś czaroksiężkiem kole widziałem tylko jedno i jedno. Wszystkie przedmioty patrzyły na mnie oczyma Natalji, i w tysiącznych rozmiarach otaczały mię jej obliczem. Przenosiłem się wzrokiem po tych lubych obrazach z taką radością, jak gdybym był twórcą tej zaczarowanej cząsteczki świata. W rzeczy samej, nie inaczej bym stworzył i zaludnił świat cały, jeźliby to było w mej mocy! I wszystkie te kochane

twarze zwrócone były ku mnie z widoczną miłością, uśmiechały się mi, mówiły oczyma że mię kochają, że nie zasmucą mię, nie odmienią się mi nigdy, że będą mię kochały zawsze, póki życia!

Ach! szczęśliwy nad wszelką możność myśli, niedopiero-ż opisu, rzuciłem się z otwartymi rękami ku najbliższemu z tych drogich obrazów. Bo śród samego obłąkania czy uroku, którym w tej chwili została zamglona moja dusza i zmysły, zachowałem, a przynajmniej zdało mi się że zachowuję tę zimną i jasną uwagę: iż rozsypane do koła wizerunki Natalji są tylko wielokrotnie powtórzonem odbiciem jej rzeczywistej postaci: a więc musi ona znajdować się tu niewątpliwie: i jej rzeczywistą postacią jest zapewne ta najbliższa, do której mię powiodł niemylny instynkt serca!

Ale zaledwie zrobiłem kilka kroków, ścigana postać zaczęła usuwać się odemnie, to powolniej to prędziej, podług tego jakem się za nią pomykał. Było-li to widmo meteoryczne? czy cień mój własny, przyobleczony w mami-dła pożądane obłąkanej wyobraźni? Och! ani na myśl zbiedz mi nie mogło żadne z tych przy-

puszczeń! Bez oddechu biegłem wciąż za nią, nie czułem utrudzenia, cieszyłem się niewymownie, że moja jedyna pozbyła choć na tę chwilę swojego nieodstępnego smutku, i nie prędko jeszcze myślałem zaprzestać pogoni: bom nie w życiu nie widział miłszego nad ten jej bieg lekki, rokoszny, powietrzny, po ukwieconym nadniemeńskim smugu, a potem nad samym brzegiem tej rokosznej rzeki, której prawdziwą zdała się ona teraz ondyną! Chciałem tylko ostrzedz ją o niebezpieczeństwie! zakli-
 nać aby się nie narażała dłużej po tym stromym i wzniosłym brzegu: ale niestety! zaledwem pomyślał o niebezpieczeństwie, gdy zła chwila je sprawdziła! — Właśnie w tem miejscu, gdzie brzeg rzeki wychylał się w nagły i przykry załom, i w tedy właśnie gdym skracając sobie drogi, puścił się linią prostą i tuż tuż niemal jej dosięgał, ostąpiła się ona jakoś nieszczęśliwie — i w oka mgnieniu upadła do wody. Jęknąłem, rzuciłem się za nią, długo miotałem się w rozpacz na dnie rzeki, nakoniec zachwyciłem przecież jej szaty. Lecz stało się to w chwili, gdy me siły zostały wyczerpane, gdy biedna żądza własnego ocalenia

wzniosła głos nad wszystkimi myślami, i zagłuszyła je wrzawą rozpaczy!

Nie wypuściłem z rąk jej sukien: alem już nie był wybawicielem, tylko bezmyślnym tonącym!

Och! smutny, nizezemny zgon bez nadziei!

Boże mój Boże! — myślałam zalewając się łzami — na coś zezwolił, abym go spotkała na tym świecie! nie dość-że było mych łez i niedoli! Potrzeba-ż abym musiała jeszcze wylewać łzy takie, których nie mogę ci ofiarować: bo każda z nich kamieniem upada na duszę, i jak grzech oddala mię od ciebie! O niech we dwójnasób, stokroć powiększą się inne me smutki, niech mi ani chwili od łez nie zostaje, tylko obym mogła odzyskać dawną możność uciekania się z ufnością do ciebie, mój Boże! obym mogła płakać łzami nadziei i tęsknoty do twojego nieomylnego miłosierdzia! Niech mi

zejdzie z oczu i myśli jego obraz! Ach! dodaj mi mocy, wiekuisty Panie! dodaj szczeroci tej mojej modlitwie! Niech go ujrzę w drugim świecie z czystą, błogosławioną, nie ziemską radością: lecz tu niech o nim zapomnę, lub niech go widzę spokojnie, bez bojaźni, bez wewnętrznej walki, bez tej myśli odbierającej siły: że cierpimy oboje! i bez tej myśli straszliwszej jeszcze i trudniejszej do pokonania: że może byliśmy stworzeni dla siebie!

W tej chwili posłyszałem jakąś wrzawę na dziedzińcu. Wzmagą się ona stopniami.

Z niepojętem drżeniem podeszłam do okna, z którego tylekroć wyglądałam powrotu Leona. Lecz tą razą czułam się tak nieszczęśliwą tak skołataną, żem się wzdrygnęła i uleżała mojej mimowolnej myśli, alem pragnęła — aby to nie był Leon! — Bo czyli-ż bym mogła z czystą duszą, z całym niezamąconem szczęściem rzucić się teraz w jego objęcia? Onby odgadł łatwo — ach! jabym mu wyznała sama... Boże mój wielki! coź-bym mu wyznała?... — Chyba-bym tylko upadła mu do nóg, i płacząc jak teraz, pragnęła-bym śmierci!

W tem otworzyły się drzwi, i wpadł skwa-

pliwie ktoś z domowych, nie pamiętam który — pamiętam tylko i wiecznie pamiętać będę te słowa: « Pan Stanisław utonął! tylko co wy-
« ciągniono go z wody! »

Jeźliby mi powiedziano, że oto ginie świat cały, spadają gwiazdy, wałą się niebios! — upadła-bym na kolana i znalazła-bym może dość jeszcze siły do modlitwy za sobą i za wszystkimi drogami mojemu sercu. Ale na tę wieść o nim, wtedy gdy mi żadne nie zagrażało niebezpieczeństwo, i gdy ta wieść tak straszliwie odpowiadała tylko co w myśli zamieszanej przezemnie modlitwie, jak gdyby nią była spowodowana — jak gdybym właśnie wymodliła zgon jego dla własnej spokojności — ach! wszystko co tylko męka sumienia, co ból serca ma najcięższego, wszystko to jednym ciosem ugodziło we mnie — i nie zabiło!

Byłam pewną, że on już nie żyje, tak nie-
szczęśliwie pewną, jak gdybym mu sama odebrała życie, jak gdybym własnymi rękami potrafiła go do topieli.

Nie widziałam nikogo, nie opytywałam po drodze: biegłam prosto nad brzeg rzeki, jak-by

mi coś wskazywało miejsce jego zgonu, jak-by to było miejsce umówione!

Zaledwie jeszcze kilku ludzi było przy nim. dwaj rybacy którzy go znaleźli i wydobyli z wody, i dwóch czy trzech służących. Wszyscy stali spokojnie, z założonemi rękoma i udzielali sobie nawzajem postrzeżeń o miejscu i czasie tej nagłej śmierci: lecz jak zwykle bywa u pospólstwa, nie spieszyli z doświadczaniem sposobów przywołania życia. Zapóźno już, a i w każdym nawet razie było-by daremnie! — myśleli oni zapewne *).

O jak-że byłam im wdzięczną, że go nie dotykali, nie targali, nie szarpali na próżno! Uklękłam przy nim z jakąś obłąkaną radością, nachyliłam się do jego twarzy, i nie śmiejąc dotknąć jej usty ani nawet po zgonie, szeptałam doń coś 'dlugo: cieszyłam go, zadawałam mu pytania — i zdało mi się żem czuła,

*) W rzeczy samej, nasi wieśniacy szukają skwapliwie i pracowicie, lecz zwykle prawie kończą na wydobyciu z wody utonionych. I po znalezieniu ciała tak są spokojni, jak kaukazcy górale, gdy zdołają odbić lub odkraść swoich poległych spół-braci.

słyszała w mem sercu jego głos, odpowiedzi!

— Ja żyję! żyję w tobie! nie płacz! — powtarzał mi on, uśmiechając się smutnie — wszakżem ci mówił nieraz, że śmierci niema! Więc mię kochasz? Dla czego-ż tałaś mi aż dotąd to wyznanie?... Leon dawno już nie żyje! Lecz gdyby nawet i żył jeszcze i wrócił cudem, uszczęśliwi-ż cię jego powrót? Coż mu odpowiesz, gdy wspominając o minionych nieszczęściach, zapyta cię on kiedykolwiek o mnie i o moim zgonie? Wzdrygniesz się wtedy mimowolnie: on zechce cię uspakajając, będzie ci mówił rozsądnie o niedocieczonych drogach przeznaczenia, o nierównym dla wszystkich zakresie życia: a gdy dojrzy łez w twych oczach, gdy twój przyśpieszony oddech i bicie serca każą mu myśleć, że cię temi uwagami zatrwożył, wtedy tuląc się do twojej twarzy, całując i pieszcząc powie ci on: — Zapomnijmy o tem biednem dziecku, Natalijo! — Jak-że ci będą niemiłe i te pieszczoty i słowa! — Ach! tak, jam zakłócił twą spokojność, do tyłu twych nieszczęść jam dodał największe: wieczną walkę z sobą samą! Dotąd, cierpiąc płakałaś łzami

czystymi, które-by ci zostały policzone. Dusza twa oczyszczała się boleścią, ośmielała się do Twórcy. Modlitwy twe były gorące, święte i przynosiły ci ulgę niebieską. Senne obrazy miewałaś tak mile, błogosławione ręką anioła stróża, że rozpamiętywając o nich nieraz słodko zapominałaś rzeczywistości. Jam ci odjął lub za-truił o wszystko. Ale mi przebac! Natalijo! — Nie miałem sił tyle, abym ci nie dał poznać, że cię kochałem. Czułem dobrze co nas na zawsze od siebie przedziela, i tyś mi nigdy nie dała zapomnieć o tym przedziale! Niech ci więc wystarcza wewnętrzne świadectwo, żeś nie była i nie mogła być w żaden sposób przyczyną ani mojego obłąkania ani zgou!

W tej chwili postyszałam za sobą, jęki matki. Nie było nikogo w domu, coby się postarał o utajenie przed nią tego nieszczęścia: owszem policzono sobie za jakąś chwalebłą usłużność natychmiast uwiadomić ją o wszystkim; więc na pół-żywa, umacniana samą tylko rozpaczą, nadbiegła ona, upadła z głuchym jękiem na zwłoki syna i zaczęła je całować.

Na ten widok, pamiętam że pierwszym mem wzruszeniem było coś podobnego do zazdrości.

— Potem, jak gdybym się lękała, aby kto nie odgadł mych uczuć dla zmarłego, usiłowałam okazać się spokojną. Chciałam nawet wyjąkać jakąś pociechę biednej matce, chciałam ją wesprzeć: lecz gdy odtrącając moje pociechy i pomoc, zawołała ona z rozpaczą: — « Och! puść mnie Natalijo! tyś go nie kochała! nie mogła tak kochać jak ja nieszczęśliwa! » — Na te słowa zapomniałam o wszystkim! Obląkał mię jakiś żal dziki, dla czego nigdy nie wyznała zmarłemu, dla czego nikt nie wie ile mi on był drogim! Pochwyciłam jego ręce, powyrывałam z nich podwodne trawy, które trzymał on dotąd z jakąś dziwną mocą, i przyciskając naprzemian to do ust to do piersi te zimne dłonie, czułam się tak szczęśliwą, oddychałam zda się tak lekko! A było to niby na jakiejś ślicznej kwitnącej wyspie, na której nie mieszkał nikt z ludzi, tylko my dwoje ze Stanisławem: i to już miało być oddawna, i tak być miało zawsze! Dokoła dawała się słyszeć cicha, niewymownie miła muzyka, to znowu naprzemian ptaki cudownie śpiewały: a powietrze było napojone taką rokoszną, ożywiającą wonią, że nie przykrego, dolegliwego, smutnego

nawet, nie mogło powstać ani w myśli ani w sercu! — Było to zapewne powtarne życie i świat nowy: bo żadne dawne pamiątki, żadne względy, obowiązki, nie trwożyły moich myśli, nie broniły mi go kochać, nie zamykały ust temu wyznaniu: że mi tak słodko do niego należeć! — Lecz jeszcze niedawno musiało być temu mojemu szczęściu: gdyż powtarzając mu, że go oddawna kochała, tyłkom nie śmiała i nie mogła z tem się okazać — zakryłam oczy, i pośpieszyłam w słodkiem jakimś uczuciu wstydu, przysłonić się do jego twarzy — ale była ona tak zimną, że otworzyła oczy z przestachem — i ujrzałam ją siną, umarłą, przekształconą, okropną!

— Och! zbudźcie mię! zbudźcie na miłość boską! — wołałam.

W tej chwili, dotknął z lekka mych oczu ten-że sam Anioł-śmierci, którego skrzydła przенiosły mię na ziemię.

— Coż, doktorze Panteuszu! — rzekł mi z łagodnym uśmiechem — czego też mędrzec

z krainy czystego absolutu może się nauczyć
na tej biednej ziemi?

— Ach, tak! cierpieć, czuć i kochać! —
odpowiedziałem ukorzony.

Póty ma rękopis ś. p. Dyamentowskiego.



475126.

90

779967/24444

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

475126